

Akademia Podlaska

Uczelniany Ośrodek Kultury

32 Konkurs Literacki

LIMESU

utwory nagrodzone i wyróżnione

Siedlce, 2009

Wydawca:

Akademia Podlaska w Siedlcach

Uczelniany Ośrodek Kultury

ISBN: 978-83-7051560-7

Konkurs odbywa się pod patronatem

Prezydenta Miasta Siedlce.

Impreza promocyjna zorganizowana

przy życzliwej współpracy

Domu Pracy Twórczej „Reymontówka” w Chlewiskach

Okładka, koncepcja graficzna i typograficzna:

©Jolanta Szymczyk

Druk:

Sprint, Siedlce, Broniewskiego 50

tel. 25/644-63-10, e-mail: **sprint@siedlce.cc**

Siedlce, dn. 29.09.2009 r.

PROTOKÓŁ

z posiedzenia jury XXXII Konkursu Literackiego

Jury w składzie:

1. Włodzimierz Pawłowski - przewodniczący
2. Sławomir Sobieraj
3. Sylwia Flis
4. Tadeusz Goc – sekretarz

Po rozpatrzeniu nadesłanych zestawów prac jury postanowiło przyznać

I nagrodę - Alinie Mendrali z Siedlisk, godło Lot

III nagrodę - - Cezaremu Grali z Płocka, godło Trefl - za cykl wierszy „Matka Boska...”.

Wyróżnienia:

- Milenie Rytelewskiej z Myszkowa, godło John Lennon
- Tadeuszowi Charmuszko z Suwałk, godło Skrzat -za utwór „Czarny kot”,
- Agnieszce Magierskiej z Siedlec, godło Pola.

Jury zwróciło też uwagę na prace opatrzone godłami: Dybuk (Cezary Grala), 12 (Daniel Ratz), La Luna (Izabella Degen), Manru (Edyta Wysocka), Igitur (Wojciech Stańczak), DNA (Lechosław Cierniak).

Podpisy Jury:

(w oryginale)

Alina Mendrala

Nadzieja przychodzi z brzaskiem

Chłopska opowiadka

...Człowiek sam sobie jest katem, ale i sam twórcą własnego szczęścia.

Ale aby wybrać drogę istotnie jedyną trzeba przede wszystkim znać siebie i władać własną duszą...

Wł. St. Reymont

z listu do Wandy Toczyłowskiej, Paryż 12.02.1908

Podobno w mieście całkiem inaczej się żyło.... Spokojniej, łatwiej i ponoć nawet bez żadnego uzależnienia od złośliwości pogody. Tam nikt nie rozpaczał nad zalanym sianem, na tym, że przygniły ziemniaki w mokrej ziemi, albo że kłosa pszeniczne nie obrodziły tak, jak potraza, bo gleba popękała z wysuszenia.... Tam pełno było doktorów, co to mogli zaraz zaradzić każdej dolegliwości i ludzie całkiem się nie znali... Całkiem! Nikt o nikim nie rozprawiał, nie wyszydzał jego wstydlivych przywar. Kaziutek już od dawna namawiał rodziców, by sprzedali te liche poletka i przenieśli się do Rzeszowa.

- E, tam! Młodyś i głupi! Nie przesadza się starych drzew, bo i tak pousychałyby z tęsknicy za rodzimą ziemią oplatającą ich korzenie. Tę się urodził i tutaj dokonam żywota! - tym stwierdzeniem Zygmus zwykle kończył dyskusję.

Próbowała wtedy przekonać syna, że właśnie nad Siedliskami najpiękniej wschodzi słońce, tak jakby uśmiechało się do pól i do ludzi. Pokazywała bocianie gniazdo na starej lipie i wcale nie kłamała, gdy twierdziła, że od czasów wojny nigdy nie zabrakło tam klekotu młodych bocianiątek. Mówiła o śpiewie skowronków, o zapachu malw rosnących pod płotem, a posadzonych jeszcze przez babkę, o księżycu, który zaglądał w maleńkie okienka drewnianego domu, o tym, że nic nie może się równać z wonią świeżo skoszonej trawy.... Opowiadała o nocach pachnących bzem czy jaśminem, o wolności, gdy wybiega się boso wprost w poranną rosę i jak bardzo wtedy chce się żyć. Tak opowiadała, bo to była najszczerza prawda, tylko że teraz jakoś wyparowały z niej te wszystkie dobre myśli, wyparowała cała miłość do rodzimych stron...

A to dlatego, że najboleściwsza noc w życiu Ladwisi wcale nie miała się ku końcowi... Nawet kiedy rodziła Kaziutka, nie cierpiała tak okrutnie! Nawet wtedy! Ze złością popatrzyła w stronę Zygmuta. Stary pochrapywał głośno, ulokowany na samiuskim krauszkę łóżka. Na łeb przywalił zrolowaną kapę, chyba tylko po to, by jej nie słyszeć, no bo przecież nie z zimna. Gwiazdzista, sierpniowa noc dusiła parotą, a powietrze było tak gorące, że trudno nim było oddychać.

Cobyś się tylko nie udusił, głuszoku! - szepnęła w stronę męża ze zbolalą złością, ale zaraz zrobiło jej się straszliwie wstyd.

Zygmus był przecież dobrym człowiekiem, nadspodziewanie dobrym mężem, a to, że przygłuchł trochę na starość, nie było jego winą. I nie on ponosił winę za to, że znowu bolały ją zęby.

Śpij, Zygmus, śpij! - ogarnęła ją nagła czulość i wyrzuty sumienia.

Nowa fala pulsującego, zjadliwego bólu wyparła z niej te dobre uczucia. Zdawało jej się, że zaraz zacznie kwiczeć jak zarzynany wieprzek... Pulsowanie zajmowało coraz większe obszary i całkiem niebezpiecznie zaczynało podchodzić pod uszy.

Matko Przenajświętsza, ratuj! - zajęczała.

Jęknęła niby pokornie, ale przypominało to raczej zgrzyt znieawidzonych zębowych pniaczków w jej gębie. Poraziła ją nagle myśl, że wyzywanie Zygmunta od głuszków, spowodowało na nią karę niebios i sama pewnikiem ogłuchnie.

- Boże, bądź miłosierny - waliła się w piersi aż dudniło. Przyniosło jej to niespodziewaną ulgę. Żebra zabolęły i pozwoliły na moment zapomnieć o zębach. Zegar wybił radośnie godzinę pierwszą, ale Ladwisi zaczęło się wydawać, że ta noc w ślamazarności wlokącego się czasu, nigdy się już nie skończy. W każdym razie, ona nie doczeka poranka, bo ból straszliwy wytrząśnie z niej duszę. Mokra ściereczka, którą przykładła do policzka, nagrzała się już i nie przynosiła żadnej ulgi. Księżyc w pełni szyderczo zaglądał przez okno i raził ją prosto w oczy. Upocony Zygmunt przekręcił się na drugi bok, jednak nawet we śnie zdobył się na nadzwyczajną zapobiegliwość i przykrył siwy łeb kapą. Gdzieś całkiem niedaleko, całkiem bliźniutko pohukiwała sowa - zwiastun zbliżającej się śmierci. Ladwisia jęknęła cichutko i bezszelestnie, by nie budzić śpiącego Zygmunta, u-siadła na łóżku. Właściwie nie mogła się już dłużej modlić, gdyż wszelkie możliwe modlitwy odprawiła z wieczora, przerywane wprawdzie niepobożnym brakiem skupienia, jednakże miała nadzieję, że to akurat Bóg jej wybaczy ze względu na te zdradzieckie kości w gębie. Niby małe, białe kosteczki, niby nic ważnego, a tak niesłychanie bolesniwie potrafiły dać człowiekowi do wiwatu!

- Usunę was wszyścieńkie! Wszyścieńkie co do jednego, zdrowy, chory, nieważne! Założę se piękną protezkę, jeśli ino litościwy Bóg pozwoli mi rana doczekać! - odgrażała się. Tylko, że do rana było jeszcze strasznie daleko, straszecznie! - Strzymam, ino mus przestać myśleć o zębach! - przekonywała samą siebie.

Koszula lepiała jej się do ciała, język jakby napęczniał w gębie i za nic nie chciał omijać dwóch bolesnych korzonków.

- Strzymam! - upewniała się, zduszając kolejny jęk.

W gruncie rzeczy, to miała na te podłe zębiska haka i to porządnego. Padalce nic nie wiedziały, że od dwóch miesięcy w nowym Ośrodku Zdrowia trzy razy w tygodniu przyjmowała socjalistyczna pogromczyna owych bestyi i ponoć świetnie sobie z nimi radziła. Kto ino odważył się odwiedzić młodzieńką rwaczkę, wychodził zadowolony wychwalając ją pod niebiosa. Akurat raniusko wypadała środa, a właśnie w środę litowała się nad wsiowymi nieszczęśnikami wykształcona doktor Ania. Istniała oczywiście jeszcze jedna opcja, opcja natychmiastowa, acz nadzwyczaj bolesna. Z dawien dawna w sąsiedniej wiosce wyrwał zęby ród kowali Soleckich... Z ojca na syna przechodził ten uboczny fach, który, jak mawiali zazdrośnicy, przynosił im o wiele większe zyski niżli podkuwanie koni czy inne kowalskie roboty. Tyle, że Ladwisia całkiem niedawno, bo zeszłej zimy, wygłupiła się dostatecznie. Cała wieś się z niej śmiała, cała okolica!

Znów ze złością zerknęła na pochrapującego Zygmunta i miała ochotę go palnąć. Spał tak rozkosznie, tak smacznie, a jej przeszkadzało nawet jego świszczące chrapanie, bo wprawiało całe łóżko w uciążliwe wibracje i wstrząsy.

Onej nieszczęsnej nocy styczniowej wszystko wyglądało podobnie... Zygmunt spał spokojnie, a ona tak cierpiała, tak cierpiała, że chciała oszaleć! Około północy nie wytrzymała i obudziła męża.

Zygmuś! Zygmuś! - musiała go ostro szarpać, by przebić się przez jego głuchotę i twardy sen.

Co? Co? Usiadł w pościeli i rozglądał się wokoło całkiem nieprzytomnie.

W izbie panował przeraźliwy ziąb, kafle starego pieca dawno już ostygły. Przyświecając sobie lampką Ladwisia zapaliła światło, ale ta nagła jasność wyraźnie zaszkodziła zębom. Zaczęły narywać bezlitośnie i bez opamiętania. Dłuższą chwilę słowa przemówić nie mogła. Zygmus przetarł zaspane oczy, popatrzył na zegar, potem na nią dość nieprzyjaźnie

- Zdurniałaś, babo, do cna? Po nocy pobudki urządzasz? Kładź się i daj spać! - wrzasnął aż chałupą zatrzęsło.

Odkąd miał kłopoty z słuchem, głośna mowa stała się jego nawykiem. Pewnikiem wydawało mu się, że skoro on niedosłyszy, to i innym nieobca jest ta przywara. A Ladwisia akuratnie cieszyła się najdoskonalszym słuchem na świecie. Donośny głos męża rozdzwonił się w jej zębach, spotęgował bolesne impulsy i straszliwie ją rozżłościł. Aż nią zatłukło z bólu i gniewu.

-Trza jechać do Soleckich! Nie strzymam do rana! - zarzyczała jak śmiertelnie raniony zwierz.

Zygmuś dosłyszał! Spojrzał za okno. Siarczysty mróz zaszklił calušką szybę i szczęśliwie nie dozwolił mu dojrzeć ogromnych zwałów twardego śniegu. Jednakże jego niechęć do nocnej podróży była aż nazbyt oczywista, nazbyt wyraźna.

- Rano, Ladwiś, z samiuskiego rana! - szepnął zbołały, bez większej zresztą nadziei na optymistyczne zakończenie.

- Rano? - krzyknęła tak głośno, że i martwy by ją posłyszał.

Przeżony rudy kocur, drzemący obok pieca, dał nura pod łóżko. Zatrzęsły się, skute mrozem, szybki w oknach, a w kominie zawył przestraszony wicher. Zygmus teatralnie przyłożył dłoń do uszu, jakby i na nim zrobiło to odpowiednie wrażenie.

- Nie krzycz, całą wieś pobudzisz!

- Ja nie krzyczę, ino chce coabyś mnie dosłyszał! - ryknęła jeszcze głośniej i zajadlej.

- Toć i słyszę.

- Zaprzęgaj! - rozkazała resztą sił, a pulsujący ból w gębie powalił ją prawie na kolana.

Koń pewnie też był zdumiony, że gospodarz wyprowadza go z przytulnej stajni i każe mu się przedzierać przez twarde zaspy po nocy, ale to już zupełnie Ladwisi nie obchodziło. Opatulona w pierzynę pojękiwała cichuśko z tyłu wozu i marzyła o tym, by sprytny Solecki pozbawił ją źródła straszliwych męczarni. Zniechęcony, zmarznięty małżonek milczał markotnie, popatrując w styczniowe gwiazdy czarnego nieba.

- Zygmuś? Zygmuś? A będzie bolało to rwanie? - krzyknęła do skulonego męża. Niespodziewanie ją dosłyszał i nie odmówił sobie drobnej złościwości.

- Pewnie, że będzie!

Żle i pośpiesznie nałożona onuca w bucie zwinęła się odsłaniając dwa największe palce. Teraz mróz przeszywał je do szpiku kości... Miał nauczkę! Wszyscy już od dawna nosili skarpety, ale on jakoś nie mógł się do nich przekonać.

- Będzie bolało i to straszliwie! - dorzucił z okrucieństwem, bo całkiem przestał czuć umrożone paluchy.

Ladwisia jęknęła donośnie z nadzieją, że wzbudzi w mężu litość. Nadaremno! Nawet przez mrok nocy z oczu złośliwego Zygmuś wyczerała żądza mordy, kiedy się ku niej odwrócił. A i koń łypnął na nią gniewnie.

- By was wszystkich pokręciło, padalce! - szepnęła sama do siebie i sama się nad sobą ulitowała.

Zęby nie przestawały narywać ani na sekundę. Wyrwany z błędnego snu, młodszy Solecki okazał się miłym, litościwym człowiekiem i naprędce szykował narzędzia, nikogo nie krytykując za ten nocny najazd. Widocznie był już do tego nawyknięty, oswojony z takimi wizytami. I wtedy stał się cud, niespodziewany cud! Może Matka Przenajświętsza ulitowała się nad Ladwisią, wdzięczna za codzienne modlitwy? Nie wiadomo! W każdym razie zęby zamilkły, ból zamilkł i znikł!!!

Laboga, mnie nic nie boli! - ucieszyła się, jeszcze nie do końca dowierając własnemu szczęściu.

Solecki i Zygmus popatrzyli na siebie tak jakoś dziwnie, z jakimś takim męskim porozumieniem.

- Ale za chwilę znowu będzie bolało. Musicie mi uwierzyć, Wilczko! To ze strachu, to z nerwów zęby was przestały boleć! - młody kowal uśmiechnął się łagodnie i pokrzepiająco.

Mocniej zacisnęła wargi, zagryzła je prawie do krwi.

- Otwieraj gębę! - ryknął rozsierdzony Zygmus.

Ladwisia oniemiała. Stary głuszek widocznie nie posłyszał dobrze jej słów.

- Zygmus, dyć mnie całkiem przeszły boleści!

- Nie potem się tłukł po mrozie i w ciemnościach, żeby tera tylko uściskać rękę młodemu Soleckiemu! Sprowane zęby trza wyrzeć, bo ino czekać, jak zaczną boleć! Do roboty, panie Solecki!

Zdumiona głośną tyradą męża, otworzyła szeroko oczy. Stary oszalał, albo całkiem zidiociał z tej głuchoty! Jak to, miała sobie pozwolić wyrwać cudownie uzdrowione zęby? I to tylko dlatego, że oburzony głuszek zaprzął po nocy do sań? Wielki niby wysiłek! A i temu złośliwemu koniowi też się należało i to jak jeszcze! Zawsze na Ladwisię groźnie łypał i ochotował ją kopnąć, bo ino starego szanował, ino jego!

- Żadnego darcia nie będzie! Jestem zdrowa! - oznajmiła ze złością, niezwykle autorytatywnie i szybko wstała z żelaznego stołka.

Solecki bezradnie opuścił ręce z błyszczącymi obcęgami.

-I co teraz, panie Wilku?

Zygmus popatrzył na żonę żałośnie. Jej zacięta mina mówiła sama za siebie. Wyraźnie było widać, że nie ma na tej ziemi takiej siły, która skłoniłaby zawziętą Ladwisię do zmiany decyzji.

- Będzie rwanie, panie Solecki! Będzie rwanie! - westchnął ciężko.

- Nie będzie! - wrzasnęła Ladwisia, ale Zygmus jeszcze głośniej wpadł jej w słowo.

- Mnie samego jakosi rozbolały zęby! Pewnie z tej akuranej, nocnej przejażdżki!

I dzielny Zygmus pozwolił sobie usunąć trzy spróchniałe pniaczki z rozżalonej gęby! Bolało to chyba straszecznie, bo wył i ryczał jakby życie kończył a Ladwisia naprawdę umierała ze strachu, że jej cudownie ozdrowiałe zęby mogą również zapragnąć rwania. Czegosik radosny niczym skowronek, Solecki zainkasował zapłatę, poklepał skwaszonego Zygmuta po plecach i tak dziwnie na nią popatrywał. Na drugi dzień cała wieś, ba, cała okolica opowiadała sobie, jak to Ladwisię zęby bolały, ale dobroduszny Zygmus swoje w zamian za jej pozwolił sobie wyrwać. Z godnością znosiła głupie kpiny i nieustanne przytyczki, bo szczęśliwie użębienie uspokoiło się zupełnie, pozwalając zapomnieć o straszliwych męczarniach. Nawet się wykosztowała i kupiła sobie pastę i szczoteczkę do zębów, gdyż w radiu usłyszała, że taka pielęgnacja o wiele bardziej sprzyja ich zdrowotności niżli przemywanie palcem z solą.

I wszystko było w jak najlepszym porządku aż do lata. Wprawdzie już pod koniec wiosny, w czasie zmiennej pogody Ladwisia zaczynała miewać mgliste wrażenie, że czas jej dwóch podniszczonych ząbków wyraźnie dobiega kresu. Niekiedy w dość delikatny sposób przypominały o sobie leciuskim pulsowaniem, ale starała się o tym nie myśleć i jakoś pomagało.

Pomagało aż do dzisiaj! Księżyc za oknem przesunął się kawałek dalej i przestał razić ją w oczy. Parota nieznośna wnikała w chore dziąsła i potęgowała narywający ból. Momentami zdawało jej się, że nie wytrzyma już tego ani sekundy dłużej. Z rozpaczą spoglądała na Zygmuta. Kapa opadła z jego siwej głowy, mocarne pochrapywanie wprawiało w taniec wystające z nosa kłaczki. Ze wstrętem odwróciła wzrok. Stary był taki szkaradny, ogorzały wiatrem i pomarszczony!

Całkiem jak cap. I to cap nad grobem! - szyderstwo nie przyniosło żadnej ulgi, a raczej sprowadziło na nią nagłą żalost. Oprócz łez bólu, spłynęły szerokim strumieniem łezki żalu. Zygmus był stary i ona była stara, bardzo stara.... Życie przeleciało tak jakoś w pośpiechu, tak prędko, że ani zdążyli się spostrzec. Przecie i u Kaziutka dostrzegała już pierwsze objawy starości, a i cera miastowej synowej też przyżółkła i pomarszczyła się.

- I dobrze jej tak! Ani się obejrzy a już się zmieni w starą czarownicę, całkiem jak ja!

Mimo wielu starań nie udało jej się polubić Katarzyny. Miała ją za bezbożną komunistkę, za leniucha, który nie miał pojęcia o prawdziwej robocie, a kiedy jeszcze tamta nazwała pierworodnego: Iwan, w oczach teściowej straciła wszystko.

- Iwuś, chodźże kochanieńki! - Ladwisia nawoływała wnuczka, który uwielbiał spędzać u nich wakacje, trwożliwie rozglądając się na boki. Bała się, że usłyszy ją któraś sąsiadka i rozpocznie zwyczajowe kpiny. Cóż, wnuczek Ladwisi był Iwanem, całkiem jak ruski chłop, ale nie to było najgorsze! Wcale nie to!!! Siostra Ladwisi, Rozalia, pewnikiem przewracała się w trumnie i pluła jej prosto w twarz. Chodziła czasem na jej grób, patrzyła na zmurszały krzyż i próbowała jakoś się tłumaczyć.

- Zrozum, Róziu, nic nie mogłam zrobić! Ta miastowa flądra okręciła sobie Kaziutka wokół palca i całkiem namieszala mu we łbie... Iwuś to takie mądre, dobre dziecko! Cóż on winien, że nosić musi imię twojego mordercy? Wydawało jej się wtedy, że nawet cementarne drzewa razem z porywistym wichrem wykrzykują:

- Iwan Fiodorowicz!

- Iwan Fiodorowicz!!!!

Drewniane, pokrzywione krzyże skrzypiały mściwie:

- Wania! Waniusza!

Nawet one! Ladwisia tchórzliwie uciekała z cmentarza a potem kilka nocy z rzędu całkiem nie mogła zasnąć. Iwan Fiodorowicz pewnikiem żył gdzieś tam sobie w przepychu, zaś biedna Różia nie mogła zaznać wiekuistego spokoju.

- Komisarz! Milicyjny dostojnik! Bandyta nie komisarz! Morderca!!!

Co się Ladwisia nachodziła do plebana, co się naprosiła, żeby nie chować Rozalii za murem cmentarnym, ale udało się. W końcu to Zygmus jakoś przekabacił starego proboszcza, jakoś ułagodził i nieszczęsne szczątki młodziutkiej samobójczynie złożono na samiuśkim skrajusku cmentarza. Tak, Zygmus zawsze był dobry, zawsze był Ladwisi pomocny.... Albo wtedy, gdy wyciągano napęczniałe i całkiem sine ciało Rózi z rzeki... Trzymał ją wtedy mocarnie, bo pewnikiem i ona zakończyłaby swe życie w nurtach rwącej wody, pewnikiem skoczyłaby z tej żałości. To Zygmus przepędzał z chałupy plotkarskie baby, co to dużo złego miały do powiedzenia o jej siostrze. Stare klekoty syciły się ludzkim nieszczęściem, o ciężach gdakały, o grzesznym prowadzeniu! Pytlowały o karze boskiej za kumanie się z Czerwonymi, ino o miłości nikt nie spominał! Nikt poza Zygmuśm! On jeden potrafił wszystko zrozumieć i tylko z nim mogła rozmawiać o siostrze, a tak jej to tak było potrzebne, tak strasznie potrzebne!

Zrobiło jej się naraz przykro za to lżenie Zygmuśm tak bez żadnej przyczyny, tylko dlatego, że wściekła była, że wściekle bolały ją zęby.

- Śpij Zygmus, śpij spokojnie! - szepnęła z czułością i poprawiła spadającą z jego głowy kapę.

Te przykre wspominki sprawiły, że całkiem zaniechała myśli o ponownej wizycie u Soleckiego. Szczerze mówiąc, nawet ironicznie zaczęła się zastanawiać, czy aby Zygmus ma jeszcze jakoweś skorupki w gębie do wyrwania, które mógłby poświęcić dla jej spokojności. Tak się z tego ludzie naśmiewali, tak sztydzili.... Nie wiadomo, jakby to znowu było! Może nazad cudownie by ozdrowiała i naraziła się na szyderstwa? Nie, na to nie mogła sobie drugi raz pozwolić! A i Zygmus czymś przecie musiał pogryzać jedzenie, nie mogła go pozbawiać resztek użębienia. Rano spokojnie pójdzie sobie do dentystki i zdzierzy wszystko, wszystko wytrzyma, byle tylko nie powtórzyła się ta noc męczarni. Zegar wydzwonił na drugą, gdzieś w okolicy zaczął ujadać pies... Ladwisia trochę się uspokoiła, tylko te cholerne padalce w jej gębie wcale o tym nie wiedziały, albo, co gorsza, wcale nie chciały o tym wiedzieć.

-Nie myśl o zębach! Nie myśl! - napominała się, zduszając w sobie bolesne jęki.

Z rozpaczą obserwowała wskazówki zegara w jasnym świetle księżycy... Czas wcale nie płynął, noc nie miała się ku końcowi, jednakże wytrzymałość Ladwisi wyraźnie tam zmierzała.

-Nie strzymam! Nie podołam!

Wstała i namoczyła ciepłą już ściereczkę w wiadrze zimnej wody. Przyłożyła ziąb do policzka, wtuliła się weń, ale rozbisurmanione zębiska miały to gdzieś. Ból dawno ogarnął uszy, dotarł do łzawiących oczu i najwyraźniej zabierał się za mózg. Tortury stawały się nie do zniesienia. Najzwyczajniej umierała z boleści przeokrutnych i przestało jej już na czymkolwiek zależeć... Na śmieszności, na Zygmuśmowych zębach do pogryzania, na wszystkim! Właśnie, w czarnej desperacji, miała budzić chrapiącego męża, by natychmiast wiózł ją do Soleckiego, kiedy w zbołały rozum uderzył nagły impuls.

- Laboga, przecie jest jeszcze Szewczyk!

Obudziła się w niej niespodziewana nadzieja, aż pulsowanie zelżało z tej radości. Onegdaj podsłuchiwała w gieesowskim sklepie rozmowę dwóch chłopaków, którzy wychwalali pod niebiosa spryt Władzia Szewczyka w usuwaniu zębów. Ponoć jednym ruchem, ponoć całkiem bezboleśnie pozbawił Karolowego Jędrusia trzech zepsowanych na raz!

- Gadam ci, chłopie, toż to majstersztyk dentystyki! Drugiego takiego to i ze świecą szukać! Solecki nie dorasta mu nawet do pięt! - wychwalał Władzia młody Gugalik.

Staszek od Kawulów zanosił się śmiechem, ale wyglądał na takiego, co to byle czemu nie dowierza. Zawsze wszystkiego okrutnie ciekawa Ladwisia udawała, że ogląda flaszki z octem, ale że słuch miała doskonały, chłoneła każdziutkie słowo. Teraz przypomniało jej się to wszystko i sprawiło, że wstąpiła w nią nagła nadzieja. Szewczyki mieszkali bliżusieńko, rzecz by można, po sąsiedzku wręcz i wcale nie potrzebowała Zygmunta ani jego złośliwego konia, by udać się po ratunek. Skoro młody Władziu był takim specjalistą, to przecież i jej nie odmówi pomocy i nie odeśle jej z bólem do chałupy! Od myśli przeszła do czynu i nie zapalając nawet światła, przyodziała się odświętnie, całkiem jak do kościoła, no bo przecież szła do fachowca. Należało się godnie przyodziać i zrobić jak najlepsze wrażenie.

-Tą razą nie stchórzę! Nie stchórzę na pewno!

Zamknęła chałupę na klucz i zawzięta niemożebnie na narywające kości w gębie, ruszyła przez ciemny sad ku zagrodzie Szewczyków.

- Ha, mylił się Kaziutek, nawet na wsi można było znaleźć specjalistyczną pomoc w każdej dolegliwości. Wystarczyło uważne słuchanie ludzi i odrobinka pomysłu!

To nie była dobra noc, wcale nie była... Gigantyczny kac pustoszył organizm, a jednak był niczym w porównaniu z myślą o przełknięciu czegośkolwiek, która to od razu wywoływała odruch wymiotny. Władek cicho zajęczał i próbował odpędzić myśli od strasznego pragnienia. Właściwie, bał się nawet ślinę przełykać świadomie, bo zaraz żołądek zaczynał unosić się ku górze, w okolice wysuszonego gardła. Na domiar złego noc była piekielnie jasna i parna. Złośliwe księżycowe bydlę przyświecało mu prosto w oczy, jakby się na niego uwzięło.

- Żeby wreszcie zasnął! - bezskutecznie upraszał bezlitosny los.

Wsiowe psy zachowywały się niczym rozsierdzone, dzikie bestie. Może ogromny księżyc w nowiu miał na nie taki wpływ, albo ten skwar? Hałas i jazgot ich dudniącego poszczekiwania potęgował ból udreżonej głowy.

- Wściekły się, czy co? - po raz nie wiadomo który zadawał sobie pytanie.

Notoryczne i retoryczne zapytywanie przynosiło chwilową ulgę, odsuwając myśli od przeżykanej śliny. Władek po prostu nie wyobrażał sobie, że jeszcze kiedykolwiek w życiu potrafi coś przełknąć, coś przepuścić przez wrota, na wieki zamkniętej gardzieli. Nie po tym, co mu się dzisiaj przytrafiło, nie po tym! Ludzie nieraz opowiadają o strasznych przypadkach, które są ich nieszczęsnym udziałem, użalają się nad sobą, a niekiedy potrafią nawet z siebie pokpiwać. On jednak nabierał niezachwianej pewności, że nigdy już nie wróci do tego tragicznego momentu, który sprowadził na niego

natychmiastową, acz niepotrzebną trzeźwość! Bóg go musiał tak pokarać, tak dobić za lenistwo, a może i za nadużywanie trunków napędowych! Dreszcz świętego strachu przeleciał mu naraz przez krzyże.

- Boże, przecież nie jestem taki znowu zły! No i co z tego, że pamięć moja ułomna, przecież każdemu się może przydarzyć zapomnienie! Czy to taki straszny grzech?

A tak go ojciec prosili, tak napominali, by z budowy wrócił wcześniej i w stanie zupełnej trzeźwości! Przyobiecał, będąc pewnym, że słowa danego dotrzyma, ale po kilku głębszych kieliszkach zupełnie o tym zapomniał. Maniek stawiał wiechowe flaszeczki i wszyscy bawili się w najlepsze. Mimo obfitej wypitki Władowi jakoś nie wracał dobry humor. Stale miał przed oczami zapłakaną Jaśkę, stale dzwoniły mu w uszach jej słowa.

- Coś taki nie w sosie? - zagadnął go wesolutki Bronek, kolega z podstawówki.

- E, tam! - westchnął boleśnie, gdyż jego problemy nie nadawały się do biesiadnych zwierzeń.

- Dajcie mu spokój, nie widzicie, co chłopak zakochany? - roześmiała się rezolutna żona Mańka i podetknęła mu pod nos kwaszonego ogóreczka.

- Na miłość najlepiej się napić! - pouczył go doświadczony gospodarz.

- Karna szklaneczka dla zakochanego!

Władek potulnie nie protestował.... Wypił kilka takich karniaczków i późną nocą, prawie na rękach wrócił do chałupy. Rodzice dawno już spali w swojej izbie i to spali nad wyraz twardo, bo ich chrapanie dudniło w oszołomionej głowie charkotliwymi akordami. Miał straszliwe pragnienie, aż go ssało w żołądku na myśl o garnuszku lodowatej wody. W sieni zawsze stało pełne wiaderko tego rozkosznego napitku a zapobiegliwa mama wkładali weń nawet chochlę dla wracającego syneczka. Nie zapalał światła, tylko po ciemku szukał ochłody dla spieczonych warg. Niestety, tym razem przyjazna i pożyteczna chochelka nie czekała na niego w wiadeczkach. Lekko zaniepokojony pomacał bezradnie na starej skrzyni i szczęśliwie znalazł tam żelazny garnuszek.... Błyskawicznie zaczerpnął wody i jednym duszkiem wypił kilka najstraszliwszych łyków w życiu. I pewnie ostatnich! Woda nie była zwyczajną wodą! Ta woda najwyraźniej się popsowała! Przez pijany, oszołomiony mózg przemknęła mu głupia myśl, że jakoś nigdy wcześniej nie słyszał o podobnym przypadku.

- Czasy dziwaczne to i woda zwariowała! -westchnął z niebotycznym żalem.

Usta miał oblepione jakąś dziwną, śluzową substancją, że ledwie udało mu się oderwać język od podniebienia.

- Nie! Woda nie mogła zmienić się naraz w śmierdzącą, obrzydliwą maź! - zaniepokoił się i całkiem niepotrzebnie, całkiem zbędnie poszukał kontaktu. Światło oślepiło go na moment, zakotłowało mu w głowie, a powinno go, chociaż na ten straszliwy moment, pozbawić pojmowania, daru widzenia a najlepiej i daru rozumowania i kojarzenia faktów! Może gdyby nie widział, czym delektował swoją pijacką gardziel, byłoby mu łatwiej? Może nie dopuszczałby myśli o śmierci z wiecznego pragnienia i może kiedyś zdobyłyby się na odwagę, by czegoś się jeszcze napić?

Rzucił zbolalym okiem najpierw na drżącą rękę, dzielnie dzierżącą obrany w krwiste farfocle półkwartek i zamrugał z niedowierzania. Od tego widoku dziwacznie nim całym zatrzęsło, załomotało prawie, a jednak ambitnie zerknął do wiaderka. Nie było to najlepszym pomysłem....

- Po coś tam zaglądała, pijana cholero? - lżył siebie później pomiędzy kolejnymi falami straszliwych wymiotów.

Dawno już opróżnił żołądek z dzisiejszego, dość lichego jadłospisu, dawno już wyrzucił z siebie wódkę i ogóreczki kwaszone, jednakże męczarnie wcale nie zmierzały do szczęśliwego końca. Leżał sobie obok progu sieni, ciężący łeb opierał o gont chałupy i nachalnie bezcześcił mizerną trawkę przy wejściu. Ku niebu wznosił jak najszczerze, najbardziej pobożne modlitwy, by dane mu było zapomnienie tego, co zobaczył w wiaderku, tego, czym raczył spragnione gardziółko.

- O, Jezu! Jezu!!! -jęczał, prawie kończąc życie.

Poskręcane, krwiste świńskie kiszki, świńskie wnętrzości, zalane rachityczną iskiereczką zwyczajnej wody, wciąż stały mu przed oczyma. Cały czas czuł ich posmak na, pogryzionym we wściekłym szale, języku. Miał nieodparte wrażenie, że lada moment zacznie wymiotować swoimi wnętrzościami, o ile jeszcze jakoweś mu zostały w zbuntowanym brzuchu, i że będzie musiał pomagać sobie palcami, by jego długie, zranione kiszki nie okręcały mu się o zęby. Od tych myśli zrobiło mu się jeszcze gorzej i zalała go fala silniejszych nudności. Z rozpaczyny uderzał głową o gont, aż całą chałupę zatrzęsło.

- Władziu, to ty? - przez pomrocność umysłu przedarł się głos zaniepokojonej mamy.

-Nie, to moje zwłoki! - udało mu się wychrypieć.

To wcale nie miał być żart, to było rozpaczliwe wzywanie pomocy, a jednak mama wcale go nie zrozumiała.

- To niech i one pójdą wreszcie spać i nie walą w chałupę na omaty! - zakpiła.

Oczywiście, rozbudzony ojciec też musieli wtrącić swoje trzy grosze. Gdzieżby inaczej!!!

-I niech te zwłoki se nie myślą, co dziś ubitego prosiaka chlały będą! Akurat! Niech napchają się trawą i pokrzywami, łącniej im pójdzie rzyganie!

- Dobranoc! - krzyknął wściekle, ale w ten heroiczny krzyk włożył resztki swoich sił.

Wydawało mu się, że ani chybi, podłe słowa rodziców błyskawicznie go zabiją. Chciał jak najszybciej zakończyć ten nieszczęsny i pełen pretensji dialog.

Komu dobra noc, temu dobra! Kto nie zasłużył, niech ma za swoje! - posłyszał jeszcze bezlitosne mruczenie ojca.

Tato mieli prawo mieć pretensje, mieli prawo być złym, ale czego akurat w tych straszliwych momentach? Władek obiecał, że pomoże przy oprawianiu prosiaka.... Obiecał, no i co z tego? Mało to miał swoich problemów, by o głupim uboju pamiętać? Nabierał jednak coraz większej pewności, że akurat ten straszeczny ubój zapamięta do końca życia, o ile dane mu będzie przeżycie dzisiejszej nocy. A zresztą, człowiek nie może żyć bez przełykania, a on miał duże kłopoty nawet z własną śliną! Zamknął oczy i usilnie starał się nie myśleć, co pływało w wiaderku. Upił się, zapomniał o obietnicy i został należycie ukarany, może nawet zbyt należycie i nieadekwatnie do przewinienia.

Ostatnio nie układało mu się najlepiej, to i miał powody do wypitki. Prawdziwe powody! Ten wycieruch, ta rozwiązła kurewka Jaśka oznajmiła mu, że zostanie ojcem. On! Akurat on!!! Cała wieś ją przed nim miała, bo nikomu nie odmawiała w potrzebie, ale to jemu właśnie postanowiła uczynić honor wątpliwego ojcostwa.

- Władziu, muszę ci coś powiedzieć! - oznajmiła czule, czulej niż zazwyczaj, bo o czułości prawdziwej miała tylko mgliste pojęcie.

- No? - mruknął skupiony na ważnej czynności zapinania portek.

Jaśka westchnęła tak ciężko, że aż popatrzył na nią uważniej i ogarnęło go jakieś niedobre przeczucie. Jej skołtunione włosy rozsypały się w nieładzie po zagłówek. Z pomiętej od energicznego baraszkowania pościeli powyłaziły pióra i przyozdabiały jej czarne loki. Piwne oczy dziewczyny zaszły radosną mgiełką.

- Będiesz tatusiem, Władziu!

- Co? - szczęśliwie nie zrozumiał.

- No, dziecko mieć będziemy!

- Kto?

- Ano my! Ty i ja!

Straszliwość jej słów i niesłychana podłość uderzyły w niego jak grom z jasnego nieba. Różowe różyczki na białej poduszce zatańczyły mu przed oczami figlarny taniec, pełen przedziwacznych wygibasów. Byłby pewnie upadł z nagłego oszołomienia, jednakże niezwykle przytomnie przytrzymał się oparcia łóżka. Zerknął na niedopitą butelkę wina, najtańszego sklepowego sikacza, stojącego na stoliku obok i uspokoił się .

- Upiłeś się? Wineczko ci zaszkodziło? - spytał z nadzieją.

Zawsze idąc do Jaśki kupował najtańsze wino, bo ona jakoś wcale nie była wymagająca. Teraz musiał za to zapłacić! Dziewczynie najwyraźniej przytruło rozum.

- Władziu, no co ty? - teatralnym ruchem uporządkowała włosy.

- W ciąży jestem, nie rozumiesz? - dorzuciła już z gniewem.

Władek za wszelką cenę starał się wtedy nie zdenerwować, przecież to były jakieś wierutne bzdury! Co go obchodziła ciąża Jaśki? Nagle zrobiło mu się jej żal, przecież zawsze bywała dla niego miła, ale zrobić się nie pozwoli!

-Jaśka, no pomyśl!

- Wcześniej nie myślałam, za to teraz nic innego nie robię! W ciąży jestem, będziesz ojcem!

- W ciąży, dobra, ale dlaczego akurat ze mną? Wszyscy cię mieli, dlaczego zawzięłaś się właśnie na mnie? Kto w to uwierzy, pomyśl! - gorycz w jego głosie jeszcze bardziej rozsierdziła dziewczynę.

- Biedny Władziu! Niewiniątko ukrzywdzone! - ze złością naga usiadła na łóżku.

Przez moment napawał się widokiem jej pełnych piersi, różanych sutek, ale zaraz wrócił na ziemię. Ta dziwka chciała go zrobić w bachora, nie wiadomo czyjego i zniszczyć mu życie!

Daj sobie spokój... Spałaś z każdym, skąd wiesz, że to akurat ja? - roześmiał się złośliwie, jednak bez żadnej wesołości i szybko zaczął naciągać drugą skarpetę.

Jak najszybciej pragnął opuścić to złowróżebne miejsce! Jak najprędzej umknąć z miejsca zbrodni, bo co jak co, ale temu, że często korzystał z jej wdzięków, w żaden sposób nie mógł zaprzeczyć. W oczach zagniewanej dziewczyny ukazały się autentyczne łzy żalu. Nie mógł na nie patrzeć, po prostu nie mógł! Pośpiesznie, w panice prawie, zaczął zakładać buty.

Ty podły skurwysynu!! Popytaj ludzi to i dowiesz się, że od pół roku nie spałam z nikim innym. Nie wyprzesz się, dziecko jest twoje! - wrzasnęła.

Nakładany but stał się jakimś cudem zbyt ciasny, zbyt mały, jakby wcale nie należał do jego nogi. Władek miał wrażenie, że ktoś niesłychanie złośliwy podmienił mu buty i śmieje się z jego usiłowań w kułak. Nagle przypomniały mu się nieszczęsne docinki kolegów dotyczące prowadzenia się Jaśki. Podobno wsiowa wywłoka obdarzyła jego prawdziwym afektem i odmawiała wszystkim wokół, gdyż nadwątloną cnotę pragnęła zachować właśnie dla Władzia. Nie wierzył i śmiał się z tych bzdur razem z innymi, a nawet było mu miło, ale w tej chwili wcale nie rozpiełała go radość. Jaśka mogła mówić prawdę! Wziął kilka spokojnych oddechów.... Gdzie tam spokojnych, kilka przerażonych, dychawicznych łapnięć powietrza, jak u ryby wyciągniętej na brzeg! Udało mu się wydukać:

- Od pół roku sypiasz tylko ze mną?

- Bo cię kocham, rozumiesz? - odburknęła chlipiąc zapłakana dziewczyna.

Rozumiał, co nie miał rozumieć! Pewnie, że rozumiał! Jedno i tak było pewne, jak bicz strzelił, najpewniejsze... To, że nie doczeka narodzin tego dziecka, bo rozwścieczony ojciec wcześniej go wykastrują, a on spokojnie sobie zemrze z upływu krwi.

- Jaśka! - westchnął żałośnie.

- Jaśka, co ty zrobiłaś!

- Przecież nie sama! Przecież z tobą!

Świat się zawalił, rozpadł na tysiące drobnutkich kawałków i zwałił mu się na łeb. Żeby chociaż lubił tę Jaśkę, żeby coś przychylniejszego do niej czuł, ale nie! Nawet człowieka, ba, nawet dziewczyny w niej nie postrzegał, nic z tych rzeczy. Robiła mu dobrze, tak samo jak i wielu innym! Zwyczajne naczynie na spermę i grzech.... We wsi była jeszcze jedna taka, podobne naczynie, ale ta służyła jedynie księżom. Nikt o Lesi nie mówił inaczej niż naczynie duchowne, jednak, nawet u bogobojnych bab miała pewien rodzaj swoistego poważania, wszak służyła bożym sługom...

- Jaśka, to pewne? - spytał niesłychanie przytomnie ale i z nadzieją, że dziewczyna zaprzeczy. Nic takiego nie nastąpiło, a szala strachu zmierzała w jednym, niezwykle konkretnym, kierunku.

- Trzeci miesiąc! Możesz mnie podać do sądu, możesz obedrzeć ze skóry, ale dziecko jest na pewno twoje!

- I tak będzie sierotą, bo ojciec mnie ubiją!

- Stary Szewczyk nie jest głupi, ja to wiem! Nie zabije swojego jedynaka, tylko za to, że przysporzył mu wnuka... Małego dziedzica miał będzie, kołchoz nie wchłonie jego włości... Będę dobrą synową, najlepszą na świecie, zobaczysz jeszcze! - rozmarzyła się.

- Synową? - zdumiał się.

Do takiego stopnia był nieistotny, że nie obiecywała mu nawet, jaką żoną będzie dla niego? Zresztą, i dobrze! Przecież wcale nie pragnął takiej żony, żadnej żony na razie nie pragnął. Nagle Jaśka wstała i wtuliła swoje nagie ciało w jego zeszywniałe ze strachu członki. Szybko pozbawiła go ubrania i wzięła ją jeszcze raz, jeszcze namiętniej, bo jego życie najwyraźniej zmierzało ku końcowi. Nie należało odmawiać sobie ostatnich przyjemności, wszak nawet skazani miewali do nich prawo, najświętsze prawo! Potem Władek, całkowicie oszołomiony obietnicami, które w euforii wymogła na nim obrotna Jaśka, złożył wizytę Tryczce.

Babciu, babciu najukochańsza, nie macie wy czasem wódki na sprzedanie? - pytał pokornitko, pukając dyskretnie w maluśkie okienko znanej meliny.

- Tryczka uchyliła szybki. Jej pomarszczona, chciwa twarz błysnęła złowieszczo w świetle księżyca. Ciemna chusta na głowie pomięta była i poskręcana, jakby starucha w niej spała. Może, zresztą i spała, kto to wie?

- To ja! Władek od Szewczyków..

A co cię tu przygnało po nocy? Porządny ludziom spać nie dajesz! Oj, wstydzic się potraza, wstydzic!
- nie mogła sobie odmówić odprawiania wiecznie tego samego, idiotycznego rytuału.

Władek był wściekły, jednakże doskonale wiedział, że jeśli chce coś osiągnąć, musi wziąć udział w sztucznym i stale powtarzanym spektaklu meliniary.

- Babciu ukochana, tak sobie pomyślałem, czy wy byście nie mieli czasem, oczywiście tak całkiem przypadkiem, flaszeczki do sprzedania? -rozpoczął przedstawienie zebrzącym, proszalnym głosem.

Pokazowe oburzenie Tryczki przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Nawet w mdłym świetle księżyca widział jak namarszczyła się jej stara gęba, a między dwie pionowe zmarszczki na czole to i palce schować by można było. Z chytrych, siwych oczek wprost buchało najświętszym oburzeniem.

- Rozum ci odjęło? Niby skąd miałabym mieć? Co ty se myślisz, że ja pijaczka? Wstydzic żeś się powinien! Dorosły chłop, a bujdów wysłuchuje - zaskrzeczała.

Władka ogarnęła złość, jednak wiedział, że po rozmowie z Jaśką po prostu napić się musi. Z Tryczką zaś można było załatwiać sprawę tylko po dobroci, tylko potulnie.

- Oj, babciu, wy to zaraz! Kłopoty mam, to sobie pomyślałem, że wyście taka litościwa, taka inna od tych wsiowych plotkarek! - zajęczał.

- Dziecko, mom ino tylo, coby se bańki postawić, bo krzyże bolą mnie okrutnie. - niby to złagodniała Tryczka, ale w jej ślepiach już zapalała się chciwość.

- Babciu, babciu kochaneńka!!!

- No, niech ci będzie! Komu innemu bym nie dała, ale tobie dam... Dobry z ciebie chłopal, porządny... Ile tobie potraza? Dużo ni mom, ino do baniek! - zastrzegła się jeszcze sprytnie.

- Litrę?

- Poczkaaj chwilę! - starucha trwożliwie rozglądnęła się na boki, jakby obserwowało ich wielu, pochowanych po krzakach, szpiegów.

Gniew minął bez śladu, Władek miał ochotę się roześmiać. Wraz z wiekiem Tryczka robiła się coraz ostrożniejsza w swym nielegalnym procederze, a sądząc z jej słów i ilości posiadanego alkoholu, to nie tylko używała go do stawiania baniek, ale musiała się w nim cała kąpać dla zdrowotności. Zawsze można było u niej zakupić flaszczykę, zawsze, o każdej porze dnia i nocy! Każdemu oznajmiała, że daje tylko jemu, że tylko on jest jej wybrańcem, bo nikomu innemu by nie sprzedawała... No i oczywiście musiała na tym zarobić, bo stara wszak była i miała trudności z zaopatrzeniem, a jej zdrowotność całkowicie zależała od alkoholu. Nikt na nią jakoś nie donosił, bo spyrytusik miała zawsze z pewnego źródła, to i milicja niekiedy się u niej zaratowała.

-Mosz! Dobrom, bo głupio! - westchnęła żałośnie wręczając mu dwie półlitrowki. Zapłacił i to więcej niż w zeszłym tygodniu, widocznie Tryczkę bardziej bolały krzyże.

- Z Bogiem, dziecko! - zadowolona z interesu, pożegnała go nabożnie.

Domniemane ojcostwo i jak najbardziej prawdopodobna kastracja sprawiły, że nie miał ochoty zalewać robaka w samotności. Zresztą szybko spotkał kompanów... Pod schodami Remizy chłopaki leżeli na trawie i żuli dzikie kłoski, z wyraźnego braku czegokolwiek innego. Noc była gwiazdzista, ciepła i jakoś nikomu nie chciało się zagrzebywać w bety. - Nuda! - zagaił rozmowę Jędrus, ostro spluwając pod nogi.

Gębę miał czerwoną i aż napęczniała od słońca, widocznie musiał we dnie skwierczeć przy kopieniu siana. Władek nigdy nie lubił tych trzech obiboków, którzy wylegiwali się pod Remizą, bo węża wiecznie mieli w kieszeniach i nadto łasi bywali na cudze cygarki i napitki. Jednakże w tej chwili było mu właściwie wszystko jedno z kim obali te dwie flaszczyki od Tryczki, byle tylko upić się do nieprzytomności i zapomnieć o straszliwych słowach Jaśki.

- Ano nuda! - zgodził się, krzywiąc przy tym niemiłosiernie i ciężko opadł obok nich.

Niechętnie podał kolegom spoconą dłoń i zza pazuchy wyjął pierwszą butelkę, która w świetle księżycy zaślniła miluśko, w trzech parach znuudzonych oczu ukazały się radosne promyczki.

- Cud! Chłopaki, najprawdziwszy cud! - z namaszczeniem, prawie nabożnie, wyszeptał Kawulów Staszek.

Cud nie cud, ale te pasożyty wyraźnie czatowały na taką okazję, ba, nawet kielonek miały w gotowości. Młody Gugalik tak się zapalił do tego cudu, że byłby nieopatrznie stłukł flaszkę niebiańskiego napitku i to już przy otwieraniu.

- Uwważaj! - zasyczeli złowieszczo pozostali spragnieni, łącznie z Władkiem.

Później wszyscy mało mówili, delektując się rozkosznym płynem. Dobre było, mocne i szybko zakotłowało w rozgrzanych łbach.

- A co ty tak po nocy łąsisz z wódką za pazuchą? Stało się co? - byczkowaty, ospały zwykle Staszek wprost nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

- Co niby miało się stać? Tryczka się nade mną ulitowali, to szukałem towarzystwa! -odburknął Władek.

Nadal był zły, nadal nieszczęśliwy, gdyż - mimo wypitki - nie mógł zapomnieć o problemie z Jaśką. Na myśl o tym, że ojciec się dowiedzą, co zmajstrował, żołądek kurczył mu się ze strachu, a włosy dęba stawały na głowie. W połowie drugiej flaszki, lekko zmaconym wzrokiem, dostrzegli w mroku przemykającą postać.

- Kto to? - krostowaty Jędrus aż wstał z ciekawości.

Staniał się wprawdzie na nogach, ale udało mu się wypaść na drogę w odpowiednim momencie i capnąć za ramiona, przerażoną, ciemną osobę. Nawet Władek nie mógł się oprzeć radości, obserwując miny, złapanego na gorącym uczynku, nieszczęsnego plebanka. Też był na lekkim rauszu i najwyraźniej wracał od naczynia duchownego, skradając się nieporadnie i niemądrze maszerując drogą. Cóż, pleban był płochliwy i widocznie zbyt bał się psów, by przemknąć na plebanię opłotkami wsi. Przerazenie księdza minęło w oka mgnieniu, kiedy tylko dostrzegł z kim ma do czynienia.

- A co wy tu, grzesznicy, robicie po nocy? - zagrzmiął niczym z ambony.

Władek zawsze się zastanawiał skąd w mizernej sylwetce plebanka bierze się tyle mocy, by tak straszliwie ryczeć. Może tego właśnie nauczali w seminarium?

- Diabeł czatuje na wasze dusze, nędznicy! Napominam was, opamiętajcie się!

- Da ksiądz spokój! - wzdrygnęli się wszyscy.

Od ryku plebanka aż zakolebało im w, oszołomionych alkoholem, łbach, aż nimi zatrzęsało. Władek boleśnie zmrużył oczy. Jego kolegom wódeczka od Tryczki posłużyła najwyraźniej lepiej, gdyż zanieśli się pijackim rechotem i natarczywie wypytywali nieszczęsnego plebanka, skąd to wraca.

- Od chorego! Śmierć nie wybiera, przychodzi również po nocy!

Doskonale wiedzieli, że nikt we wsi nie był akuratnie poważnie chory, nikt nie potrzebował duchowych usług.

- A bardzo ten chory jęczał? - podle zaciekawił się młody Gugalik

- Chyba z rozkoszy, którą mu plebanek sprawili tymi wypielęgowanymi rączkami! - odpowiedział mu Staszek.

Mina księdza świadczyła, że albo zaraz rozsądzi go wściekłość, albo dostanie ataku padaczki. Czarne brewki namarszczył złowieszczo i zaryczał niczym lew:

- Piekło was pochłonie! Tak się stanie, prędzej czy później! Na kazaniu o was powiem! Powiem, żebyście wiedzieli, że powiem! - odgrażał się nikczemnie.

- Puść go, Staszek! Nic nam do niego! - Władek miał już dosyć tych głupich szyderstw i pokpiwań, a pleban, istotnie, był mściwym człowiekiem.

- Puszczam, pewnie, że puszczam! - Staszek szyderczo poprawił przekreśloną sutannę na ramionach wściekłego księdza.

- Też jestem chłopem, a plebanek tacy zagniewani, jakby naczynie duchowne nie sprawiło się jako potrza!

- Grzesznicy! Miejcie opamiętanie!

- Nie masz grzesznika większego od proboszcza naszego od naczynia duchownego chyłkiem powracającego! - śpiewnie zrymował młody Gugalik.

Flaszeczki od dobrotliwej Tryczki zrobiły swoje, wszyscy zanieśli się pijackim rechem, a uwolniony plebanek uciekał, aż się kurzyło. Dopili spokojnie buteleczkę i mieli rozejść się do domów, kiedy Staszek zniemacka spytał:

- Władek?

-No?

- Gadaj, chłopie, co cię dzisiaj gnębi, żeś taki skory do wypitki!

- A tak bez powodu, to nie wolno?

- Wolno, wolno! Tylko wcześniej nigdy tak nie robił!

- Nie było okazji! - westchnął Władek boleśnie.

-No, nie wiem, nie wiem! Chłop z ciebie na schwał, barczysty, wysoki... Baby się oblizują na twój widok... a i posażny jesteś, bo jednak, a stary Szewczyk podobno na pończosze z pieniążkami sypia... Cosi cię musi trapić!

- Daj spokój! Miałem ochotę się upić i po części nieźle mi się udało! Plebanka my przyłapała i ubaw był, że ho, ho!

Wtedy rezolutny i podły Jędrus musiał dorzucić swoje trzy grosze! Musiała się wtrącić krościasta kanalia, musiała!

- Aleście głupi, wszyscy jak jeden! To nie domyślacie się skąd Władzia frasunki?

W oczach Władka księżyc zaokrąglił się jeszcze bardziej, jeszcze wyolbrzymiał, a gwiazdy w jakowejś straszliwej desperacji zaczęły na siebie nachodzić, napadać zdradziecko. Niebo zwariowało, noc zwariowała, a on, całkiem ogłupiał, mógł to jedynie bezradnie obserwować... Wszechświat zatrząsł się w posadach od głośnego dudnienia w jego głowie! To nie wódka sprowadziła na niego desperackie wizje, to życie je sprowadziło! W wizjach tych straszecznych i bolesnych, ojciec właśnie pozbawiał go męskości starym, zardzewiałym nożem a radosna Jaśka spacerowała z wózkiem po ulicy.

- Jaśka! - wyrwało mu się nieopatrznie.

- Jaśka? Nasza Jaśka? - oczy chłopaków zaokrągliły się z radości.

Trawa, zroszona nocną rosą, zaczęła naraz ziębić pośladki i biednym Władkiem całym zatrzęsło.

- Ona w nim zakochana, to nie wiecie? Może i on w niej! - roześmiał się Jędrus.

- A może i co więcej? Może jednak Szewczyków i tatusiem ostanie? Wszak Jaśka od dłuższego czasu tylko jemu wierna!

-Ty podły skurwysynu! - Władek jednym ciosem wybił Jędrusiowi dwa zęby na przedzie.

Co jak co, ale krzepę miał w łapach! Nie równać się z nim było tym wsiowym, chytrym wypierdkom. Potem błyskawicznie uciekł z miejsca zbrodni i zagrzebał się w litościwe bety pierzyny w izdebce.

Krew z ospowatej mordy Jędrusia śniła mu się po nocach, ale już cztery dni minęło od wydarzenia, a zesypana kanalia nie przychodziła do ojca na skargę i po pieniądze zadośćuczynienie. Może i ten akt desperacji miał jakąś szansę rozejść się po kościach? Jaśka też wcale mu się nie naprzykrzała i szczęśliwie udawało mu się jej unikać. Może tylko tak go chciała wypróbować, tak niecnie nastraszyć? Gdyby nie wypite dzisiaj świńskie wnętrzności, może i jemu jeszcze wszystko ułożyłoby się pomyślnie? Najbardziej bał się ojca, bo mama wiele wybaczyć potrafili, choć Władek nabierał coraz większych wątpliwości czy i sprawa Jaśki byłaby dla niej tak lekka do przebaczenia.

Pewnie nie, pewnie mama nigdy by mu tego nie darowali... Co za hańba mieć za synową wsiowego wycierucha!!!

Znów nagromadziło mu się w ustach zbyt wiele śliny, znów musiał zmagać się z jej przelknięciem. Straszeczne wiadeczek na powrót pojawiło się w jego myślach. Wypluł z obrzydzeniem zaraz obok łóżka, ale jakoś wcale mu to nie przeszkadzało. Na moment ulżyło zbolątemu żołądkowi, a nawet i łomot w głowie stał się jakby mniejszy. Leżał sobie na łóżku i obserwował swoje stopy w seledynowym świetle księżycy. Duże były, brudne i nieforemne. Pewnie od gumiaków tak się rozczłapały, rozczapierzyły niczym płetwy.

- Dobrze do pływania! Jedynie do pływania! - wzdychał raz po raz.

Wbrew temu, że obserwacja własnych stóp nie przynosiła żadnego zadowolenia, żadnej satysfakcji i tak starał się na nich skupić, o nich myśleć. O spaniu nie było mowy, noc dłużyła się niemiłosiernie, a i po ranku przecież nie spodziewał się niczego dobrego.

Kiedyś, bardzo dawno temu, we wczesnej młodości, Władek zakochał się na zabój w dziewczynie z sąsiedniej wioski i zdawało mu się, że Lucynka jest mu niesłychanie przychylna. Była, niewątpliwie była! Tylko co z tego, skoro do akcji wkroczyły jego rozczapierzone stopy i nie pozwoliły, by fantastyczny związek zmienił się w coś trwalszego! Na ekrany kin w miasteczku wchodził właśnie nowy film, ekranizacja „Krzyżaków” Sienkiewicza i dużo się o tym mówiło, nawet pod Remizą. Władek zaprosił więc Lucynkę do kina, pragnąc wykazać się odczytaniem, inteligencją, choć nie był zwolennikiem marnotrawienia cennego czasu bezsensownym czytelnictwem. Jednakże dziewczyna chodziła do liceum, ubóstwiała książki a zatem chętnie zgodziła się na elitarną randkę. Władkowi tak strasznie zależało, by wypaść jak najlepiej, jak najkorzystniej! Nawet w jeden wieczór zawziął się i przekartkował grubą lekturę. Niektóre fragmenty dawały się czytać, ale cała reszta była niestrawna i nie przepędzała rozpaczliwej senności. W każdym razie coś tam wiedział i o Zbyszku i o Jagience, ale postać mdłej Danusi doprowadzała go do wściekłości. Omijał więc wszystkie fragmenty z jej nieszczęsnym i nadzwyczaj nudnym udziałem. Władek miał nadzieję, że przy Lucynce i tak uda mu się nie wyjść na wsiowego debila. Tyle zrobił dla rozumu, ale i ciało potrzebowało przecież odpowiedniej oprawy. W tym celu zakupił sobie nowiusieńkie, wiśniowe buty - marzenie, z wąskimi, jakże aktualnie modnymi, noskami. Zapłacił za nie tyle, że mama kilka razy milcząco popukali się w czoło a ojciec tylko chmurnie zaniemówili.

- Ale masz wspaniałe buty! Musiały nieziemsko kosztować! - Lucynka od razu zauważyła nowe, modne obuwie.

- Kosztowały! - westchnął prawie że żałośnie, gdyż poniesione koszty finansowe wcale nie przekładały się na wygodę.

Wziął wyszykowaną Lucynkę pod rękę i wsadził do taksówki. Tyle trudu sobie zadał, tyle pieniędzy stracił, bo chciał pokazać się z jak najlepszej strony! Do miasteczka pojechał pociągiem, tam dopiero wynajął taksówkę, by po dziewczynę zajechać z fasonem. Już w aucie wiedział doskonale, że wiśniowe buty z wąskimi noskami najwyraźniej nie zawarły przyjaźni z jego stopami. Czuł to, najpierw delikatnie, jako leciutki dyskomfort, jednakże z każdą chwilą ta niespodziewana wrogość zaczynała się nasilać. Dzielnie postanowił o tym nie myśleć. Lucynka paplała jak najęta, o coś go

pytała, a on był w stanie jedynie potakiwać głową i uśmiechać się sztucznie, całkiem jak debil. Wcale nie było mu do śmiechu, wcale! Raczej do płaczu...

- Władziu, ty utykasz! - już pod samiuśkim kinem, Lucynka poczyniła te nieszczęsne obserwacje.

-No, coś ty! - zapeszył się, ale jakoś udało mu się przemóc ból i dziarsko zaprowadził ją na salę. Pogasły światła, błyskawicznie przeleciała kronika, a na ogromnym ekranie rozpoczęła się wartka akcja zmagania Polaków z Krzyżakami.

Tylko, że Władek wcale już tego nie obserwował, bo on prowadził swoją własną wojnę, o wiele bardziej zaciekle i bolesną niż sam król Jagiełło. Stopy!!! Szerokie, pletwiaste stopy, upchnięte do wiśniowych mesztów z wąskimi noskami, narywały tak, że miał ochotę wyć głośniejsz niż mordowani na ekranie. Ze złością przybrodził jedną stopę drugą i cichutko jęknął.

- Widzę, że strasznie przeżywasz film! - ucieszyła się Lucynka.

- Czytałeś książkę?

- Pewnie! - odparł gładko, choć właściwie pewien był już tylko jednego, że jeśli natychmiast nie pozbędzie się krwiopijczego obuwia, niewątpliwie na zawsze zostanie kaleką.

- Biedna Danusia! Biedny Zbyszko! - chlipnęła Lucynka.

- Biedaczyska! - zawtórował jej ze złością, ale oczywiście miał na myśli swoje, ujarzmione i dotkliwie cierpiące stopy w wiśniowych meszcikach.

- Nie złość się tak, przecież znasz zakończenie!

- Znam! - odparł, jednak wcale nie był tego taki pewien.

Głupie perypetie mydlękowatych postaci z ekranu nie obchodziły go w tym momencie ani trochę. Miał własne problemy, gigantyczne problemy i one mogły prowadzić do naprawdę tragicznego finału. Z drugiej jednak strony nie mógł zbłąźnić się przed wymarzoną dziewczyną prozaicznymi kłopotami z nowym obuwem. Cierpiał takie katusze, że miał ochotę gryźć.

Wreszcie, nader szczęśliwie i w akuratnym momencie, Danusia oszalała, a Władka dzieliły już tylko od tego samego straszliwe chwile. Krążenie w palcach ustało chyba całkowicie, ale pulsujące narywanie wcale nie miało takiego litościwego zamiaru. W oczach romantycznej Lucynki ukazały się łzy wzruszenia, w oczach Władka łzy autentycznego bólu, ale film szczęśliwie zmierzał do końca. Zresztą i jego wytrzymałość na nieludzkie tortury też tam zmierzała i to o wiele szybciej niż film.

- Dawniej to mężczyźni potrafili prawdziwie kochać! Już w taksówce westchnęła rozmarzona dziewczyna i przysunęła się bliżej do Władka.

Niestety, ta niespodziewana czułość nie przyniosła zamierzonego efektu, gdyż niefortunnie nastąpiła mu przy tym ostra szpileczka na krajuśzek madejowego buta. Że nie zawył, jak raniony śmiertelnie zwierzę, że jej nie palnął mściwie w wytapirowany łeb, przez króciutki moment jawiło mu się cudem! Opanowanie, nadzwyczajne opanowanie i trzygodzinne tortury w kinie sprawiły, że przywykł do męczarni. Tylko, że po spotkaniu ze szpileczką lucynkowego lakierka, jego mały palec niewątpliwie wyzionął ducha, gdyż Władek całkiem już stracił w nim czucie.

- Jaki przystojny ten Zbyszko, jaki szarmancki! - zachwycała się zielonooka Lucynka.

Władek z wolna wracał na ziemię z krainy nieludzkiej boleści. Zaczynały do niego docierać słowa rozentuzjasmowanej dziewczyny.

- A jakie on miał buty! - westchnął zazdrośnie.

- Z mięciutkiej skóreczki i jak ulał dopasowane do stopy!!! Takie buty to dopiero prawdziwe szczęście, to rozkosz! - rozmarzył się niemądrze acz nadzwyczaj szczerze.

Lucynka spojrzała na niego jak na wariata a kierowca taksówki złośliwie zarechotał. Nie rozumieli go oboje! W sumie całe omawianie filmu sprowadziło się dla Władka do głupich zachwyków nad wygodnym obuwiem bohaterów. Nawet bosa stopy biedoty wywoływały jego aplauz i nieskrywaną zazdrość. Całe przygotowanie do mądrej konwersacji szlag trafił, bo w zasadzie, w filmie zaobserwował jedynie obuwie i nadal na nim był skupiony. Rozeźlona Lucynka wysiadła z auta pod swoim domem i za nic nie chciała się z nim ponownie spotkać.

- Twoje nazwisko idealnie odzwierciedla zainteresowania. Szewczyk! Wyborne! Ty przecież tylko o butach gadać potrafisz!

- Nie jestem szewcem! - oburzył się.

- A szkoda, nadawałbyś się znakomicie!

Kiedy Lucynka weszła do domu, Władek odprawił taksówkę, zapłacił rechoczącemu kierowcy, ściągnął wreszcie madejowe obuwie i boso wrócił do chałupy.... Osiem kilometrów szedł na okaleczających stopach, byle zaoszczędzić! Rankiem długo moczył zmasakrowane stopy w osolonej wodzie i cały dzień do nikogo się nie odzywał.

- Drogie butki, pewnikiem wygodniusieńkie? - szydzili mama, ale przynieśli mu gęsiego smalcu, by natarł otarcia i bąble. Ambitnie milczał, nie pozwalając się sprowokować.

- Jak tam, synu, podobał ci się film? - zagadywali go ojciec, wsadzając swój siwy łeb w okno izdebki.

Później upodlony Władek słyszał jak rodzice śmieli się z niego w komorze.

- Od rozum wiedział! Łapy u niego jak u Topleca, ino błon brakuje.... A te noski, te noski takie wykwinne były! Takie szykowniusieńkie!

- Dajże już pokój! Chłopał ma nauczkę! - mitygowali ojca mama, ale sami śmieli się obraźliwie.

- Czy aby dostateczną?

Na pewno dostateczną, jeśli idzie o buty! Od tamtej pory Władek dokładnie przymierzał obuwie i nie moda była priorytetem, a wygoda. Niekiedy nawet zdobywał się na większy wysiłek kilku przymiarek i zamawiał sobie buciki u szewca. Jednak Lucynkę stracił bezpowrotnie! Na zawsze!

Jeszcze raz popatrzył ze złością na pletwiaste, rozczapierzone stopy i energicznie przykrył je pierzyną. Nie chciał dłużej patrzeć na francowate kulasy, które pozbawiły go wielkiej miłości i prawdziwego szczęścia.

- Jezu, tom się dochrapał! - zajęczał cichutko, nie widząc przed sobą żadnych radosnych perspektyw.

Jeśli nawet udałooby mu się przeżyć po świńskich wnętrznościach, jeśli na powrót nauczyłyby się przełykać, to i tak cięża Jaśki prowadziła do bolesnej kastracji, a za wybite zęby Jędrusia ojciec

pewnie go wydziedziczą. Czasem marzył o tym, by zostawić to wszystko i uciec do miasta. Tam znalazłby sobie jakąś pracę i żyłby całkiem inaczej, po miastowemu. Czasem i dawniej.... Pomijając to, że tak naprawdę lubił swoją wioskę i robota w polu paliła mu się w rękach, sprawiała przyjemność. No i miał odziedziczyć po ojcu całą gospodarkę. Zresztą, ojciec mieli tylko jego! Jakże odejść, jakże ich opuścić?

- Co robić? Co począć?

Najlepiej byłoby, oczywiście, zasnąć i zostawić wszystko do rana... Może świt przyniesie jakieś rozwiązanie, jakiś cudowny zanik problemów? Tyle, że ta noc wlokła się niemilosiernie, a złośliwy księżyc w pełni ani myślał ustępować miejsca słońcu. Przypomniawszy sobie, jak dziadek, który nie żył już od wielu lat, oprowadzał go po polach, pokazywał dawne włości i żądał wręcz przysięgi, żeby kiedyś, przy sprzyjających okolicznościach, Władziu odebrał kołchozowi ich rodowe łany...

- Niech to szlag! Ciekawe jak miałyby to niby zrobić!

Kołchoz się rozwijał, a ich małe gospodarstwo ledwie pozwalało żyć. Był jednak ten niezwykle przyjemny czynnik, gdy naraz rozległo się ciche skrobienie w szybkę. Przerazenie sprawiło, że paluch zaklinował się w dziurce i wywołał piekący ból. Złe myśli przegalopowały przez głowę, mignęła w nich nawet wizja skrytobójczego nocnego morderstwa, albowiem był pewien, że to Jaśka złożyła mu nocną, nic dobrego nie wróżącą, wizytę w ciemnościach. Przez króciutki moment zastanawiał się, czy byłby zdolny tak po prostu ją zabić, bo to przecież rozwiązałoby część jego problemów.

Rozżalony na cały świat, dłużył sobie właśnie małym palcem w nosie, skupiony totalnie na tej niezwykle przyjemnej czynności, gdy naraz rozległo się ciche skrobienie w szybkę. Przerazenie sprawiło, że paluch zaklinował się w dziurce i wywołał piekący ból. Złe myśli przegalopowały przez głowę, mignęła w nich nawet wizja skrytobójczego nocnego morderstwa, albowiem był pewien, że to Jaśka złożyła mu nocną, nic dobrego nie wróżącą, wizytę w ciemnościach. Przez króciutki moment zastanawiał się, czy byłby zdolny tak po prostu ją zabić, bo to przecież rozwiązałoby część jego problemów.

- Nie! - aż się przeżegnał, odpędzając diabelskie pokusy.

- Kto tam? - spytał cichutko, tak cichutko, jak cichutkie było skrobienie w szybkę.

W rozwarcie na oścież okienko wstawiła łeb stara Wilczka w białej bluzce i kościolowym nakryciu głowy. Nie miała zwyczajnej chustki, tylko taką porządną, taką w których baby chodziły jedynie na msze niedzielne. Zamrugnął oczami z niedowierzania, nawet przetarł je gwałtownie. Wilczka nie zniknęła!

- Laboga, Władziu kochanieńki, wpuszcze mnie do środka!

Niebotycznie zdumiony i pełen ulgi zbliżył się do okna. Okrążyła twarz starej błyszcząca jak sam księżyc w nowiu. Miał przed sobą dwa ogromne księżyce, a oba dziwacznie skwaszone i nieszczęśliwe.

- Co się stało, Wilczko? - zapytał słodko i od razu wrócił mu dobry humor. Nie był osamotniony w swej bezsenności, bo i tę starą wariatkę jakieś fraszki przygnały tu po nocy. Uśmiechnęła się do niego nieszczerze, nawet bliższym prawdy określeniem wyrazu jej gęby, byłoby fatalne skrzywienie.

- Laboga, Władziu, ty ani pomyślisz, po com ja do ciebie przyszła!

- Do mnie? Akurat do mnie, żeście przyszli, Wilczko? - zdziwił się.

Był prawie pewien, że stara każe budzić mu ojca, że to do niego ma interes. Przyglądając jej się uważniej. Odpicowana była niczym na rezurekcję! Łupanie w głowie ustąpiło jak ręką odjął i ogarnęła go nagła wesołość. W przyływie wisielczego humoru pomyślał sobie, że może Wilczka zdradza głuchego Zygmunta z jego ojcem. Aż się roześmiał głośno od tych wyobrażeń.

- Możecie okna pomylili po omacku? Ojciec śpią z matką we wielkiej izbie... Ale uprzedzam was, że mama przywała wam paciochą, jak was tylko zobaczą taką wyryktowaną, jak na randkę! Mama umieją dbać o swoje! - zaszydził radośnie.

Zrozumiała go od razu. Swoją drogą, to dziwaczne, że bogobojne i prawie święte staruszki tak okrutnie były wyczulone na sprawy seksu i wcale nie po bożemu nim zainteresowane. Zawsze wiedziały dokładnie, kto się z kim kuma, kto się ma ku sobie, choćby to była największa tajemnica.

- Jezu, pewnie i o mnie wiedzą, o moich kontaktach z Jaśką! - olśniło go nagle.

- Dajże pokój, Władziu! Młodym jedno ino w głowie! - oburzyła się Wilczka.

Zwarzony humor Władka lekko się poprawił na widok miny staruszki. Gdyby chodziło o Jaśkę, właśnie dał jej do ręki oręż i mogła zagać bez problemu.

- Czyli do mnie macie nocny interes? - wróciła mu werwa i wesołość.

- Ano, ano do ciebie!

- To uprzedzam was, że wbrew wszelakim posądzeniom, z mężatkami nigdy się nie zadaję! nagle zrobiło mu się lekko na duszy, lekko i radośnie. Już wietrzył niespodziewaną zabawę, bo stara musiała wymyślić coś niezwykle idiotycznego, skoro budziła go po nocy. Dolegliwości skacowanego ciała usunęły się na plan dalszy, właściwie zupełnie o nich zapomniał. Wilczka przyniosła ze sobą rozrywkę i niewątpliwie skróciła straszliwą noc! To mogło zdarzyć się tylko tutaj, nigdzie indziej.

- Władziu, wpuście mnie, dziecko! Musisz mi pomóc! Zara! Tera! - zajęczała nadzwyczaj boleśnie.

- A nie rzucicie się na mnie? Wszak żadnych świadków nie ma!

- O, Jezusie! Ja przecie w sprawie rwania! - oburzyła się i aż klasnęła w dłonie.

- Rwania? Jakiego rwania? - zdębiał zupełnie.

- A czegożby jak nie zębów? Wpuście mnie wreszcie, bo całkiem zeświruję z tej boleści okrutnej! Przecie sąsiadce pomocy nie odmówisz a i zapłacę sownie!

- Poczekajcie, Wilczko, zaraz wam otworzę!

Już rozumiał! Starą znowu bolały, osławione i te cudownie zimą uzdrowione, zęby. Nie chciała pewnie budzić Zygmunta, tylko przyszła go prosić by zawiózł ją motorem do Soleckich. Zawiezie, oczywiście, że zawiezie, choć duża dawka wypitego alkoholu nadal grasowała w jego żyłach. A może i nie? Przecież tak dokładniśko go opróżnił pod progiem! Błyskawicznie nadarł osztorane portki, nałożył buty i popędził do sieni. Uśmiechał się sam do siebie! Już myślał, że mu przyjdzie uświerknąć do rana a tu trafiła się rozrywka. Nie lada gratka wozić Wilczkę do usuwania zębów! Nie lada! To musiało mieć jakieś zabawne zakończenie! Zapomniał zupełnie o kłopotach z przełykaniem, o wiaderku świńskich wnętrzności, nawet o Jaśce, nawet o niej!!! Widocznie dobry Bóg się nad nim zmiłował i zesłał mu na uprzyjemnienie nocy tę starą wariatkę.

- Zatem wchodźcie, Wilczko! - rozwalił na oścież drzwi sieni, aż przeciąg haratnął okiennicą w izdebce.

- Pochwalony! - bąknęła staruszka cichutko, jakby po przestąpieniu progu, całkiem straciła podokienny animusz.

- Pochwalony! A więc wy do mnie w sprawie zębów? Do mnie? Na pewno do mnie? - upewnił się jeszcze. Szybko zamknął okienko, by zbyt ciche hałasy nie obudziły czasem ojca i nie zepsuły całej zabawy.

- Możecie się pomylili, Wilczko? To zagroda Szewczyków nie Soleckich! - bawił się w najlepsze dziwnym zażenowaniem starej.

Pewnie głupio jej było prosić go o tę nocną odwózkę a może i nagle zdała sobie sprawę z tego, że przecież on nie poświęci swoich zębów, jak Zygmunt, dla jej spokojności.

- Laboga, Władziu, przecieżem nie sfiksowała! Dobrze wiem, gdzieżem przyszła... - powiedziała z jękiem i jeszcze bardziej się pomarszczyła od przyływu nowej fali bólu. Po chwili kontynuowała dalej swój dziwny wywód.

- Oj, chwałą cię ludziska, chwałą! Zbytecznie się z tym skry wasz, przecie to dar od Boga, taki spryt mieć w rękach.

Bezwiednie popatrzył na swoje dłonie. Brud i trawa za paznokciami przypomniały mu nieszczęsne wymioty. Zresztą, nie tylko to! Nieostrożna Wilczka całą kościolową spódnicę miała upapraną w rzygowinach, pewnie w nie wlaźła w ciemnościach i sama śmierdziała niczym skunks.

- Nie myśl o tym! Przetykaj spokojnie! - uspokajał się w duchu.

Zrobił mały wysięk i na powrót skupił się na nocnym gościu, na podejrzanym gościu, który mówił niezrozumiale całkiem rzeczy. Babina chyba jednak zwariowała od tych perturbacji z użębieniem! Chwalono go? Niby za co? Nie przypominał sobie, by w ostatnim czasie jego postępowanie zasługiwało choć na aprobujące potaknięcie głową. Miał złą passę! Miał cholernego pecha i był pewien, że los wziął się właśnie na niego!

- Laboga, Władziu, bierz się do darcia! Nie strzymam już tych boleści.

- Do darcia? Waszych zębów? - spytał głupio i nabrał pewności, że zasnął a to wszystko dzieje się jedynie w jego sennych majakach.

- Ale dlaczego ja?

- Boś, ponoć, lepszy od Soleckich!

Powoli zaczynało mu się przejaśniać w głowie. Zaczynał kojarzyć fakty. Wybite zęby Jędrusia! Stara musiała coś źle podsłuchać, źle zrozumieć.

- Mógłbym wiedzieć, kto mnie wam tak szczególnie zalecił? - spytał poważnie.

- Laboga, Władziu, nie baw się ze mną, bo oszaleję! Dyć w sklepie słyszałam, coś Jędrusiowi Karolowemu bezboleśnie zęby usunął! Bezboleśnie! - zaakcentowała mocniej, bo pewnie to zrobiło na niej największe wrażenie.

Władek aż czknął z nagłej radości. Było tak, jak się spodziewał! Sam Bóg zesłał mu wariatkę na ukojenie skołotanych nerwów.

- Dar masz w łapach, wielki dar od Boga! Nie możesz go zmarnować! - przypochlebiała się Wilczka.

Tak, dar! To ona była tym nocnym darem. Ona i jej tchórzliwe uzębienie.

- Skoro tak, to proszę do gabinetu! - powiedział szybko, niby z powagą, ale aż nim podrzucało z wewnętrznej radości.

Tchórzliwe żeby starej będą się miały z pyszna! Same powyskakują z gęby z przeogromnego strachu. Przyświecając sobie latarką zaprowadził bledniejącą coraz bardziej babinę do komory. Kiedy pstryknęło światło i jasność zalała pomieszczenie, wydobywając na wierzch cały brud zagraconego wnętrza, stara wzdrygnęła się nieznacznie.

- Laboda, Władziu, tu będziesz rwał?

- Ano tu mam gabinet! – sarknął, niby to obrażony.

Stopą podsunął jej stary zydel, rozklekotany i chybotliwy niczym huśtawka, bo jedną nogę miał krótszą.

- Siadajcie, Wilczko, ja zaraz przygotuję narzędzia.

Babina robiła się coraz bledsza na gębie, prawie że papierowa i przezroczysta. Jej oczy okrągłały i okrągłały. Obserwował ją spod oka i prawie piał z radości.

- Jedną chwileczkę!

Ułamany, zardzewiały pilnik do żelaza, nieużywany już od wielu lat, zdjął ze ściany i pogładził go pieszczotliwie. Na dłoniach zostały długie smugi rdzy. Z namaszczeniem położył go na brudnym, otłuszczonym stoliczku. W podobnie dramatycznym stanie były stare, wyszczerbione obcęgi i kombinerki z jednym tylko uchwytem, które zupełnie przypadkiem odkrył w pajączynach na parapecie.

- O, mój Jezu! Do czego ci to wszystko potrzebne? - szepnęła Wilczka z niedowierzaniem popatrując na straszliwy stół.

- Jak to do czego? To moje narzędzia! - oznajmił autorytatywnie.

- Narzędzia?

- No, przybory dentystyczne!

- Tym będziesz rwał? - bezradnym ruchem głowy wskazała obcęgi a przerażenie prawie zapierało jej dech w piersiach.

- Tym! No, przecież nie palcami! - odburknął złośliwie.

Oczy starej zrobiły się wielkie jak spodki. Łapała powietrze niczym ryba wyciągnięta na brzeg. Kościółowa chustka zsunęła się na tył głowy a biała bluzka zaczynała lepić się do ciała. Narywające pulsowanie w gębie zamilkło naraz, rozpląnęło się w błogosławionej uldze. Władek zaczął się właśnie zastanawiać, jak daleko może posunąć się w swoim żarciu. Ogarnęła go nawet obawa, że dzielna stara tym razem nie zrejteruje, postanowił więc postraszyć ją jeszcze bardziej.

- Wszystko gotowe, Wilczko! Otwierajcie gębę!

Wziął do ręki wyszczerbione obcęgi i złowieszczo nimi zazgrzytał. Aż samemu zrobiło mu się nieprzyjemnie od chrobotu zardzewiałego żelastwa. Wilczka zerwała się gwałtownie, przewracając przy tym chybotliwy stółek.

- Laboga, Władziu, ja nie będę rwała! Mnie zęby całkiem boleć przestały! Całkiem! - prawie krzyknęła, wycofując się w kierunku drzwi.

- Znowu cud? Cudowne ozdrowienie? - zakpił.

- Ano takie mam widać uzębienie, co to żadnego rwania ścierpieć nie może! - tłumaczyła się nieporadnie.

Władek postąpił za nią kilka kroków, wciąż złowieszczo wymachując obcęgami.

- Siadajcie natychmiast! Nie ma się co bać! Uwinę się w try migi, ani poczujecie!

- Nie! Nie! Mnie nic już nie boli! Z Bogiem, Władziu! - uciekała aż się kurzyło.

Na progu chałupy poślizgnęła się jak długa i swój tłusty zad ulokowała w jego wymiocinach. Otrzeptała się i nie oglądając za siebie, popędziła jeszcze szybciej.

Wtedy dopiero Władek wypuścił wstrzymywane powietrze i zaczął się śmiać. Śmiał się i śmiał, a wraz z tym szczerym śmiechem uchodził z niego cały pesymizm, wszystkie złe przecucia ulatywały precz w ciemną noc, jakby chciały dopędzić przerażoną Wilczkę.

- Szewczyk - dentysta! Szewczyk - rwacz wspaniały, jednak ząbki Wilczki znowu ocalały! - rymował ledwie zrozumiałe z radosnego chichotu.

- Władek? - na progu stanął ojciec i co najdziwniejsze też rechotał, aż mu się trzęsły siwe włosy i wydatne brzuszysko.

- Podśluchiwaliście?

- Za żadne skarby nie odmówiłbym se tej przyjemności! Ta wariatka znowu z pół roku nie pozwoli zastraszoną ząbkom ani mruknąć!

Wspólny śmiech jakoś zbliżył ich do siebie. Usiedli obaj na progu sieni i patrzyli w niebo. Atramentowa czerń bledła, znikwały gwiazdy. Gdzieś całkiem niedaleko zapał nadgorliwy kogut. Noc się jeszcze broniła ale odwieczne prawa natury sprawiały, że musiała ponieść klęskę. Nad Siedliskami powoli zwyciężał świt, razem z nim wracała chłopska nadzieja. Na wsi nikt nie był nigdy sam, nawet podczas bezsennych nocy. Nikt nie był anonimowym światełkiem w betonowym bloku, bo tutaj wszystko toczyło się przyjaznym rytmem wspólnoty, tak jak być powinno, jak to drzewiej bywało....

- Tato?

- No?

- Posłuchajcie, tato.... - rozpoczął Władek niekontrolowane zupełnie zwierzenia i naraz poczuł, że jest na dobrej drodze i naprawdę we właściwym miejscu.

Tu przyszło mu żyć i tu musiał rozwiązywać swoje problemy. Myśli o ucieczce pierzchły razem z nocą. Zawsze przecież było jakieś wyjście. Razem z brzaskiem przybywała nadzieja.... Prosta i chłopska ale jakże prawdziwa i wcale nie samotna.

Cezary Grola

Matka Boska Pieniężna

Wciąż nam jej brakuje

jak miłości i chleba

Przed biednymi ucieka

bogatym daje się okradać

Czekamy na nią co miesiąc

jak na deszcz Sahara

Pożyczamy od skarpet i sąsiadów

żeby związać koniec z końcem

Nikt nas tak chętnie nie odwiedza

jak czarna godzina i nowe rachunki

Matka Boska Pieniężna

załamuje ręce

Cezary Grola

Matka Boska Spalonych Wierszy

"palenie wierszy odbywa się w ciszy"

T.R.

Widziała jak się rodzą

w bólu i bez nadziei

Głaskała je po słowach

dodawała skrzydeł, metafor, odwagi

Teraz patrzy jak płoną

dotknięte śmiertelnym pocałunkiem

zapałki

Palą się wiersze

jak Joanna d'Arc

Widać jak ciało słów

zamienia się w popiół

To nie Bóg z nami

To wiersze

grają z Bogiem w kości

Teraz płoną w ciszy

która krzyczy

Matka Boska Litości

próbuję je wskrzesić

Cezary Grola

Matka Boska Kuchenna

Chleb płacze

gdy go darmo jedzą

Z różańcem czosnku i biżuterią

cebuli na piersiach

jak zaklęta biega wśród

patelni i garnków

baletując z łyżkami, nożami, widelcem

w spiżarni i kuchni

Rządzi stołem

obrusem, krzesłami

Stara się jak potrafi

zaspokoić głód nasz codzienny

Cała w śmietanach, sosach i musztardach

pachnąca barszczem i majerankiem

z kropli rosy potrafi wyczarować

talerz pomidorowej

Wesoła jak szczypiorek na wiosne

Zarumieniona jak jabłka

w sadzie wuja Józefa

kocha ją Jan Burczybrzuch

kochają dzieci śmieci, ptaki

psy i koty

smakosz Gargantua

i wiecznie głodny świat

Nie da sobie w kaszę dmuchać

Nic co smaczne nie jest jej obce

Cezary Grola

Matka Boska Prowincjuszka

Nowy Jork zna z pocztówek

Paryż z telewizji

Wilno z opowiadań Miłosza

Lwów z wierszy Herberta

Mieszka na wsi

przywiązana do prowincji

jak sznurek do buta

Mizerna, cicha jak mysz pod miotłą

chleb smaruje smalcem

Boga zamknęła w drewnianym kościółku

żeby nie zwariował patrząc na XXI wiek

z psem gada o kościach

z kotem o jaskółkach

tańczy na podwórku z miotłą

i trzema kurami

Na co dzień grozi ludziom palcem

lecz w niedzielę przymyka oczy nawet

na miłość bez ślubu

kąpie się w stawie łąki

czesze włosy w lustrze strumieni

zieleni się jak wiosna

i jak mak czerwieni

Ubrana w przedwojenną wiarę

chodzi od chaty do chaty

rozdając nadzieję

na lepsze jutro

i spokojną starość

pod drzewem jabłoni

Milena RYTELEWSKA

Ballady o cichym umieraniu

Ich Śmierć

Milczą. Jakby

Śmierć mogła przyjść po śladach Ich słów.

W Ich pamięci działa już tylko funkcja odejmowania:

dni

godzin

sekund -

od życia.

Milczy Ona. I udaje, że mnoży.

Milczy On. I udaje, że dzieli.

Ona pyta: Ile ?

On kłamie: Tyle.

Milczy On. I chowa przed Nią lusterka, żeby
nie zobaczyła swojej twarzy, która wygląda jak
zmięty pergamin.

Milczy Ona. I udaje, że nie widzi.

Milczy On. I kroi dla Niej chleb.

Milczy Ona. I robi dla Niego herbatę.

On udaje, że pije. Ona udaje, że je.

Milczy Ona. I udaje, że wciąż JEST.

Milczy On. I udaje, że zawsze BĘDZIE.

Milena RYTELEWSKA

Kocia Śmierć

Nic się nie stało.

To tylko umarł kot.

Kot zginął (zniknął?) pod kołami samochodu

(który nawet na sekundę nie wypadł z rytmu).

Klepsydry nie powieszają.

Nekrologu nie napiszą.

Pogrzebu nie będzie, bo ucierpiała

tylko estetyka ulicy (dlaczego śmieci

i umarłych ubiera się w takie same worki ?).

Nic się nie stało.

To tylko umarł kot (któremu przecież

i tak przysługuje aż siedem żyć !)

Zaraz znów się urodzi.

I znów umrze.

I znów się urodzi.

I przestanie być zakrwawioną łupiną ciała.

Nie będzie ofiary.

Nie będzie sprawcy.

Nie będzie winy.

Nie będzie kary.

Nikt nie pójdzie do nieba.

Nikt nie pójdzie do piekła.

Wszyscy spadną na cztery łapy.

Milena RYTELEWSKA

Moja Śmierć

motto: "Mundus vult decipi, ergo decipiatur

(Świat chce być oszukiwany, niechaj więc będzie)

Jeszcze się umiem zakłamywać i mamić.

To stąd te codzienne rytuały: poranna

gimnastyka i wklepywanie kremu,

dokładnie, miejsce przy miejscu

w dekolt

w szyję

w policzki i tak dalej.

Nawet, jeśli proces rozkładu już się rozpoczął,

to na razie jest niewidoczny i bezwonny;

bo ja tę trumnę zamykam od środka.

Od środka znikam, zablźniam się,

obrastam ziarniną.

Rozciągam się

naciągam się

prasuję się

maluję się

ubierani się

przebieram się –

zachowuję pozory Bycia.

Tadeusz Charmuszko

CZARNY KOT

Dreptaliśmy z kumplem Władkiem wolno, wolniutko -bowiem metoda to ze wszech najbezpieczniejsza - miejskim deptakiem, wymieniając poglądy oraz nazwiska, oglądając witryny, podziwiając limuzyny i dziewczyny, do tego nader skąpo gestykulując, ażeby nie podsiniaczyć uprzejmie oczu sobie lub któremuś z przechodniów.

Zresztą, co ja się będę tu żołądkował bezproduktywnie. Sami najlepiej wiecie, jak dwóch znajomych zachowuje się na wyjątkowo wąskim chodniku.

Chodzenie po takim marginesie ulicznym, bo trudno ów zdzieracz obcasów nazwać inaczej, wymaga znajomości podstaw akrobacji wyczynowej. Przyjezdni przechodzić winni tygodniowe szkolenia, zanim wyjdą na tutejsze ulice, by móc wędrować w miarę bezpiecznie.

Unikając zwichnięcia nogi na nawierzchni, z którą konkurować mogą jedynie świętokrzyskie gołoborza, głowę pochylasz trwożnie i już nieszczęście gotowe. Bowiem w ten prosty sposób możesz zaprawić bykiem swego chlebobawcę, kierownika lub prezesa, dyrektora czy prezydenta, albo nawet trafić z główki - uchowaj, Panie Boże! - samego wojewodę. Wtedy, żegnaj kariero!

Najszcześniejszą okolicznością w przytoczonej sytuacji jest oczywiście wyrżnięcie głową w betonowy słup ulicznego oświetlenia. Ten ci kariery nie zwichnie, najwyżej uszkodzi kręgosłup lub złamie podstawę czaszki. O skoku w bok nie ma co marzyć! Z jednej strony groźnie najeżone kraty sklepowych witryn, z drugiej - huczająca jezdnia. Zaiste czarcia alternatywa.

- Jasny kieł mamuta - wystękał Władek - mogliby wreszcie zrobić dwupoziomowe, bo minąć się nie można! Czy to jest miasto anorektyczek? - pytał filozoficznie.

- Uważaj lepiej - doradzałem - bo jeszcze ci noga zacznie zginać się gdzieś w połowie łydki!

Władek nieoczekiwanie wyhamował jak autentyczny osioł (tfu, chciałem rzec, stanął jak wryty!) chwycił mnie za ramię i syknął ostrzegawczo.

- Czekaj, kot przelazł nam drogę!

- Gdzie? - rozglądałem się ciekawie, gdyż naszła mnie chęć pogłaskania stworzenia lub chociaż kopnięcia.

Nic jednak nie dostrzegłem, pominąwszy parę mocno migdalących się kociaków, ale te przynoszą pecha jedynie jeleniom.

- Temu łopata trzeba! - denerwował się impulsywny Władek. - Widziałeś przecież, że Kaśka Siorbakówna drogę nam przecięła, a każde dziecko w powiecie wie, że Kaśka w podsufitce deski nieźle ma obluźowane, znaczy - ma kota!

- Na śmierć zapomniałem -jęknąłem, pukając w czoło łysego gangstera z filmowego plakatu. - Oczywiście, masz absolutną rację! - przyznałem. - Z pewnością jest czarny, bo Kaśka też czarna jak kominiarz przed urlopem...

- No widzisz! - ucieszył się Władek. - Ale najgorsze w tym wszystkim jest - ciągnął dalej - że nie wiadomo, czy gadzina szczepiona! Musimy to niezwłocznie sprawdzić, bo inaczej - szkoda gadać!

Dopędziliśmy Kaškę przed barem mlecznym (kurde, a jednak!) i spytaliśmy szarmancko - ale stanowczo - o kartę szczepień. Popatrzyła na nas przyjaźnie, jakby to nie ona, a my byliśmy trochę ten tego, no wiecie...

- Wiesz, chodzi nam głównie o szczepienie przeciwko wścieklicznie... - pojednawczo wyłuszczyć sprawę starał się Władek.

- Ni-by kto ma być prze-ciw-ko niej szcze-pio-ny? - spytała przeciągając sylaby.

- My do ciebie nic nie mamy - kołował Władek - ale chodzi o tego pienińskiego kota...

Nie dokończył, gdy prawy sierp zwieńczony parasolką z modnym aluminiowym trzonkiem wyrznął w szczękę. Nie, nie Władka! Mnie. Trudno dociec, czy to z winy wielkiego zdenerwowania Kaški, czy też z powodu wrodzonego zeza dziewczyny. Pewne jest tylko, że ocknąłem się w szpitalu ze szczęką w gipsie.

Obok siedział Władek promieniejący niczym pełna półlitrowka.

- Ocknąłeś się wreszcie! - zaczął bez ogródek. - Od tygodnia doczekać się nie mogę! Widzisz, podły niedowiarku (Władek nie przepuści żadnej okazji, żeby dowieść swoich racji) a ty czasami wątpieś w czarnego kota! Nie przejmuj się, brachu - dodał, poklepując mnie po ramieniu - szczęka nie cnota, zrośnię się! Z Kašką też będzie spokój... Mają ją szczepić... z tym, no, wiesz... Heniem Kicimajem. Mało lepszy od niej!

Tu Władek parsknął śmiechem, opluwając przy okazji muchę wędrującą po podłodze.

- No, trzymaj się! - rzucił krótko i już go nie było.

Nie dziwi mnie zbytnio niezłomna wiara Władka w możliwość zrośnięcia się szczęki, gdyż Władek zawsze był niepoprawnym optymistą.

Natomiast niepokoję się pewnością w tym względzie lekarskiego konsylium. Nie ma co ukrywać, jeszcze dotąd nie słyzałem i nie czytałem o takim przypadku, żeby sztuczne szczęki zrastały się pod gipsem. Może do tradycyjnej terapii włączono niekonwencjonalne metody leczenia lub nawet dopuszczono cudotwórstwo. Może. Albo...

Niech to diabli! Przecież marzec jest w pełni. Znów jakiś kot jak głupi miauczy na dachu. Kto wie, czy nie czarny?

Agnieszka Magierska

Wyobraź sobie, że ludzkość
to wielka półka z książkami
każdy człowiek - inna książka
Szukasz czegoś dla siebie
znajdujesz kryminały
pełne mrocznych tajemnic
bogate w wiedzę
słowniki lub encyklopedie
sagi wypełnione
życiową mądrością pokoleń
listy wielkich osobowości —
- zapisy ich przyjaźni
pamiętniki przepełnione
sekretami ludzkich serc
i perełki - tomiki poezji
wzbogacone o notkę biograficzną autora

I już wiesz, co wybierzesz,

choć na stole kusi Cię...

...tabloid

Agnieszka Magierska

był brudny i śmierdzący

pijaczek w galerii handlowej

kukurydziane chrupki

popijał czterdziestoprocentowym

łykiem znieczulenia

używał łaciny — tej nieantycznej

nie znał już gładkich słów

mruczał pod nosem

wyzywiska pod adresem rządu

nagle spojrzął na mnie

zapłakaną

przygniecioną kolejną stratą

w jednej chwili otrzeźwiał

przeprosił za swoistą wiązanę

pocieszył, że „różni są ludzie”

i sam zapłakał

wtedy zobaczyłam

CZŁOWIEKA

Agnieszka Magierska

rozmawiają

chcąc wypełnić głosem

ciszę

która ich dzieli

dyskutują

o deszczowej pogodzie

o dzieciach

nie wspólnych i nie cudzych

o sąsiadach

którym pożyczają nawet siebie

milczą

o samotnych nocach

o przemilczanych żalach

o kochankach już zapomnianych

o niespełnionych nadziejach

Cezary Grala

Stara rzeka i stary Żyd

(fragmenty)

I. Powódź

Nazywam się Leo Balaban.

Rzeka przyszła pod próg mojego domu o świcie.

Weszła do sieni, potem do pokoju.

Nawet nie zapukała do drzwi.

Zawsze dotąd to ja wychodziłem jej na spotkanie.

Tym razem rzeka przyszła do mnie. Może po mnie?

Ha strażaków czekałem do południa.

Kiedy się zjawili, wypłynąłem im na spotkanie swoją

starą łodzią. Prosto przez otwarte okno.

Dziwili się - Żyd z pustymi rękami? Wszystko zostawia?

A co ja miałem zabierać? Garściami ziemi napchać do

kieszoni? Próg chałupy na plecy? Płot albo drzwi i drzewa

zza płota powyrywać?

Wszystka moje co w tej ziemi.

Ona mi tylko została, a wszystko inne to jedno wielkie nic.

Psa chciałem zabrać, ale nie mogłem.

Płakać mi się chciało nad tą psiną, a może nawet bardziej

nad sobą.

To ja go wyuczyłem, żeby skakał na ludzi, gryzł i ujadał.

Przez to musiał zostać i zginąć. Żal. Dobry był pies.

Wierny jak nie-człowiek.

Strażacy powiedzieli, że specjalnie po mnie przyjechali
że jestem ostatni z, całej wsi , na dodatek Żyd.
Poczułem jakieś dreszcze i obecność Pana.
Tak, jestem Żydem. Jestem Żydem, ponieważ ilekroć ktoś
krzyczy w rozpacz. Żyd wciąż ma nadzieję.
(...)

VI. Powrót

Wróciłem do domu, gdy woda opadła.
Ma całym podwórzu leżał wiślany piach i muł.
Było względnie sucho.
Chodziłem po podwórzu. Bałem się wejść do domu.
Mokry ślad na murze sięgał pod okna.
Napuchnięte od wody drzwi nie chciały się otworzyć.
Wyrąbałem wejście siekierą.

Wszedłem do własnego domu z siekierą, przez wyrąbaną
w drzwiach dziurę, jak złodziej, jak bandyta.

Ze ścian zeszła farba. Odśłoniły się warstwy malowane
dawno temu przeze mnie i ojca.
Woda dosięgła także nasz portret ślubny.
Zniknęły gdzieś te wszystkie malowanki, czarne brwi i rzęsy.
Czerwone usta rozmyły się, zostawiając różowe zacieki.
Z portretu patrzyli na mnie nieznajomi ludzie.
Pomyślałem o matce, która pewnej jesieni najciszej jak można

- umarła. Po prostu. Ze starości. Odeszła tak, jakby ktoś
na chwilę tylko odszedł. Chwile wieczną.

I teraz wracała w myślach, chcąc dodać mi sił.

Ja jednak zwątpiłem i w siebie i w Boga.

Bóg przebywa z człowiekiem radosnym, odsuwa się od
ludzi smutnych.

A rzeka?

Po co przyszła do mojego domu rzeka?

Przeklinana i wielbiona tyle razy?

Może chciała przypomnieć mi, że to, na co patrzyłem
tyle lat i uznałem w końcu za prawdę, było tylko zręcznym
retuszem, który łatwo zmyć.

Cóż mnie staremu Żydowi po tej wątpliwej prawdzie?

Na niedzielę ma przyjechać syn, ten z miasta. Pomieszany
jak czasy, w których przyszło nam żyć. Trochę stąd, trochę
stamtąd. Trochę Żyd, trochę nie. Owoce zależą od korzeni.

Odebrałem wczoraj od niego list. Napisał – „To nic, ojciec,
odbudujemy dom. Rzeka nie może z nami wygrać.”

Drugi syn też tak mówi .

Głupi oni .

Tyłu już ludzi patrzyło na Wisłę, walczyło z nią, ujarzmiło

Może nawet czasami wygrywali, ale już ich nie ma...

A Wisła jest i będzie.

Nazywam się Leo Balaban. Mówią na mnie - Żyd. Stary Żyd.

Ostatni Żyd.

Daniel Ratz

Autobiografia ze stanem wojennym w tle

(fragmenty)

(...)

Tak więc do partii nie chciałem wstąpić dobrowolnie. Wcielono mnie za to do Ludowego Wojska Polskiego. Nauczono mnie w języku polskim - chwała Bogu, że w polskim, gdyż w niektórych jednostkach wojskowych mówiono w całkiem innym języku - co to znaczy patriotyzm. I przekonywano, że Polska to w zasadzie Związek Radziecki, bo choć „miliony rąk - to serce bije jedno”. W wojsku polskim dowiedziałem się, że narodowym polskim tańcem są czastuszki i kazaczok, a pieśnią „Oka”.

(...)

W 1976 roku całkiem nielogicznie i głupio znalazłem się na czele pochodu robotników z petrochemii płockiej protestujących, podobnie jak w Ursusie i Radomiu, przeciwko nagłym podwyżkom cen i stałym od wielu lat upokarzającym warunkom pracy. O dziwo!, odnieśliśmy sukces. Już w końcowej fazie tej demonstracji usłyszeliśmy w telewizji z ust znękanego rządu tak wrednym narodem P. Jaroszewicza, że podwyżki zostały wycofane zanim je wprowadzono. Trochę po tej demonstracji bolały mnie plecy po spotkaniu z ubezpieczającą pochod milicją obywatelską, ale w moim sercu pojawiła się nadzieja. Zacząłem organizować, jeszcze niezbyt sprecyzowany, ruch oporu - ot, ktoś z Gdańska coś mi doniósł, ktoś z Warszawy powiedział, jak to u nich w stolicy organizują, jak należy tłumaczyć przekłamane wszystkie wieści w wykonaniu radia, telewizji i prasy. O tym, gdzie jest prawda nawet nie musieli mi mówić - wiedziałem aż za dobrze i boleśnie, gdzie ona jest. Nie wiedziałem jak i nie umiałem zorganizować w grupę ludzi od dawna odartych z marzeń i planów. W Warszawie coraz bardziej wrzało. W jakimś mieszkaniu na Kruczej, gdzie się mieściła jedna z organizacji, później nazwanych „Solidarnością”, angielski dziennikarz na tle kiczowatej makatki z jeleniami powiedział do mnie: - Cała Europa czeka byście się obudzili i ruszyli.

Myślałem o tym czy będziemy na tyle mądrzy, aby się przeciwstawić milicji, ORMÓ, wojsku, PZPR, Związkowi Radzieckiemu i zwyczajnym ludziom o szarych twarzach, przez wiele lat marnowanym i zastraszanym. Dobrze byłoby, gdyby to była walka z Goliatem, a nie trud Syzyfa. Bałem się spotkań i przesłuchań na milicji czy w bezpiece. Musiałem się uczyć udawania, że się nie boję, umieć patrzeć im podczas przesłuchań i rozmów ze spokojem prosto w oczy. Prawie zawsze się bałem, że w moich oczach odkryją strach. Nauczyłem się, że do furii doprowadza ich lekceważący i ironiczny ton odpowiedzi. Nie wyobrażali sobie, że ktokolwiek mógłby ich lekceważyć, a o ironii nigdy zapewne nie słyszeli.

W naszym hotelu, wobec coraz częściej pojawiających się wieści o strajkach, demonstracjach i dziwnych żądaniach robotników przeciwko nic nie mogącemu związkowi zawodowemu, dyrekcja zarządziła nowe wybory do starego związku zawodowego i rady zakładowej. Dyrektor nader pozytywnie ocenił prace odchodzącej starej ekipy. Zapropował ją w całości jako nowych kandydatów do rady i łaskawie zgodził się, aby zgromadzeni (około 220 pracowników) wysunęli dwie - trzy własne kandydaty do tego składu. Kiedy złożono kilka propozycji, przeważnie najmniej zauważane sprzątaczkę czy pracownicę pralni, dyrektor gwałtownie zastopował wzrastającą liczbę kandydatów mówiąc, że przecież nie można głosować na wszystkich, a tylko na fachowców znających się na pracy biurowej. Czując, że wszystko potoczy się jak zwykle, zakrzyknąłem, że rzeczywiście można głosować na wszystkich, a najlepiej na nowych, młodych, pełnych zapału ludzi, a nie na stare dyrektorskie, partyjne i urzędnicze układy i w dodatku centralnie sterowane przez Warszawę. Gadałem jak natchniony. Mówiłem co widziałem i słyszałem w stolicy, jakie miałem wieści od

znajomych z Gdańska i Radomia i że wszystko powinno być sprawiedliwsze i normalniejsze. Ludzie oszaleli - mężczyźni wykrzykiwali i wytykali straszne sprawy dyrekcji, kobiety wrzeszczały, płakały i pod adresem nad miarę rozbudowanej administracji krzyczały: - Od jutra szlus.

Na nowego przewodniczącego nowych związków jednogłośnie (łącznie z wystraszoną dyrekcją) wybrano mnie.

(...)

Jesienią 1981 roku kuzyni i kuzyn z ciotka zaprosili mnie w odwiedziny do Niemiec. Zazdrościłem im spokojnego życia, obfitości wszystkiego. Dużo wiedzieli o tym, co dzieje się w Polsce. Radzili, abym nie wracał, żebym został w Niemczech na stałe lub przynajmniej rok przeczekał ruską wojnę.

- Jaką wojnę? W Polsce już niedługo będziemy mieli lepiej dzięki „Solidarności”, broniącej pracowników w prawie wszystkich zakładach pracy - stwierdziłem. Nie uwierzyli, wiedzieli, jacy są Rosjanie, jak bronią swojej dominacji w NRD. Powiedzieli, że zatruli Zatokę Gdańską. Poranione, pełne wrzodów i bąbli ryby morze wyrzuca na plażę. Śniętych i gnijących stworzeń nie chcą zjadać nawet ptaki. Wierzyłem im, ale myślałem, że może interwencja nastąpi później. Tak, na pewno później, a może wcale. Poza tym zostając zdradziłbym sprawę i ludzi, i może marzenia. Bo marzenia można zrealizować tylko u siebie.

W listopadzie 1981 roku wróciłem do Polski, rodziny, pracy z codziennymi solidarnościowo-organizacyjnymi kłopotami i maleńkimi sukcesami, przypisywanymi oczywiście nie Solidarności, ale mądrze i nader sprawiedliwie działającym nowym, czyli starym związkom zawodowym.

W początkach grudnia, szczególnie po Barbórcie, mieliśmy w naszym, niezbyt często o tej porze roku odwiedzanym hotelu dużo gości. Mówili, że są oddelegowani do petrochemii. Codziennie zjadali śniadania i obiady, natomiast kolacje, dancingi i panienki ich nie interesowały. Czasami późno wracając z delegacyjnych kontroli wpadali, aby wziąć coś do jedzenia i picia do pokoju.

12 grudnia przez cały dzień restauracja, kawiarnia i bar świeciły pustkami. Z powodu braku gości orkiestra dancingowa i część pracowników poszła wcześniej do domu. Około godziny 19. w całym hotelu przestały działać telefony. Nastąpiła jakaś groza i poczucie nadchodzącego zła, może tylko osaczającego samotnością. Pogaszono część świateł w gastronomii i części hotelowej. Kobiety płakały, mężczyźni próbowali gdzieś biegać, dzwonić bezowocnie - wszyscy na coś czekali. I stało się. W ciszę zmartwiałego, zasypanego świeżym śniegiem miasta wkraść się dziwny, narastający klekocący dźwięk pojazdów. To były czołgi - sunęły dumnie i groźnie ulicami, z ułańską fantazją pokonując zakręty. Po dwóch godzin parady strachu, tego wieczoru wcześniej wróciliśmy do domów.

Tę lękliwą noc, z pięknym, jakby z innej bajki puszystym śniegiem, jeszcze wielokrotnie przerywało klekotanie czołgowych gąsienic. Rankiem generał w ciemnych okularach oświadczył, że nie mogą dać sobie rady z tłumem żądającym nie wiadomo czego i podżeganym przez zachodnich imperialistów, wprowadza środki zaradcze przeciwko zorganizowanym grupom anarchistów. Nie wyglądał przy tym, niestety, jak dobry Dziadek Mróz, a czołgi w żaden sposób nie przypominały sań zaprzężonych w renifery.

W zakładach pracy zaczęły się czystki. Tam, gdzie pracowało ponad 300 osób ludzi internowano. Życie opozycyjne znacznie osłabło grupując się tylko na nabożeństwach w kościołach i drukowaniu, a raczej powielaniu wieści z kraju. Mnie po kilkudniowym ukrywaniu się w szpitalu zwolniono w trybie natychmiastowym z pracy. Ponoć nowy dyrektor nie miał do mnie zaufania. Do jednego z 240 pracowników! Nie dziwiłem się temu, bo ja także do niego zupełnie nie miałem zaufania.

Nastały mrozy, pustki w sklepach i pewnie w umęczonych ludzkich sercach. Powódź zerwała część płockiego mostu po radziwskiej stronie, tylko z tego powodu, że włocławską tamę uznano za ważny obiekt wojskowy. Stali na koronie tej tamy żołnierze całymi tygodniami, koksownicy ich grzały. Patrzyli jak kra metrowej grubości piętrzy się coraz wyżej. Można było przez śluzy spuścić część nadmiaru wody, ale nie było rozkazu. A rozkazu zaś nie było, bo telefonów również nie stało. No to zalało okoliczne wioski, dobytek, zwierzęta na długości 50 kilometrów wzdłuż Wisły.

Izabella Degen

Bardzo dziwna miłość

(fragmenty)

Frank był konduktorem nowej, autobusowej linii 16 we Frankfurcie, kursującego pomiędzy Bad Vilbel i Offenbach. Stał zawsze u wejścia tylnych drzwi i kasował za przejazd, a gdy autobus zatrzymywał się na trasie, oznajmiał donośnym głosem nazwę przystanku, po czym naciskał zielony przycisk dając sygnał kierowcy do odjazdu.

Frank został konduktorem z przypadku, ale nie narzekał bo ta praca nawet mu się spodobała. (...) Prowadził normalne życie człowieka w sile wieku. Mieszkał z żoną w starej, solidnej kamienicy na obrzeżach Frankfurtu w Ginnenheim. Dzieci były już dorosłe, miały swoje życie a mieszkaly w zasięgu, bo też we Frankfurcie. Frank wszędzie cieszył się dużą sympatią, miał uznanie wśród sąsiadów, udzielał się aktywnie w komitecie osiedlowym i dzięki niemu osiedle przerodziło się w oazę pięknych kwiatów, zdobiących o każdej porze roku.

Wraz z małżonką prowadzili dość spokojne i ułożone życie. Chodzili dużo do kina a czasem też na koncerty. Dni upływały mu jeden za drugim, bez większych trudów i problemów. I gdyby ktoś go zapytał...czy jest szczęśliwy, nie miałby ani moment wahania, że...TAK.

Pewnego dnia zdarzyło się coś, co zburzyło jego spokojny i pogodny bieg życia. Na jednym z przystanków wsiadła kobieta w pięknym miodowym kostiumie dopasowanym w talii. Była zdenerwowana, zapytała go czy dobrze wsiadła.

...do Offenbach.

Tak, tak, dobrze pani wsiadła. Wiem, że na przystankach nie ma informacji, ta linia jest nowa. Ale ja tu po to jestem - uśmiechnął się zachęcając pasażerkę do dalszej rozmowy(...)

Przejazd do końcowego przystanku w Offenbach trwał dobrą godzinę. Podczas jazdy w chwilach wolnych od kasowania za bilety i dawania kierowcy sygnałów, wracał do sympatycznej pasażerki i umiał jej czas rozmową. Opowiadał jej o swojej pracy, o tłoku panującym w godzinach rannych i popołudniowych. Nieznajoma z kolei opowiadała o zakupach w domu towarowym w Offenbach. Naturalnie mogłaby kupować w innych częściach miasta, ale lubi jeździć autobusem, bo przypomina to jej dzieciństwo.

- Pewnie dziwi to pana, śmieszne jest to co mówię....

- Nie ma pani pojęcia, jaki tłok panuje na tej trasie we wtorki i piątki, kiedy odbywa się targ. Wtedy wszyscy obładowani paczkami, tobołkami, ludzie się nawzajem potrącają i tłoczą.

Wyobrażam sobie - uśmiechnęła się. Wtedy też panu nie jest łatwo pracować. Co do mnie to nie jeżdżę w te dni targowe, unikam ścisku. Na końcowym przystanku, powiedział...

- To będziemy na trasie się widywać? Nazywani się Frank Klein.

- Miło mi, ja nazywam się - Helena Schmidt.

- Miło mi, to do zobaczenia ...kiedyś na trasie.

Na pewno już nie długo — odparła z czarującym uśmiechem.

- „Koniec jazdy” - oznajmił głośno pasażerom.

(...)

Spotkanie z pasażerką w obcisłym miodowym kostiumie i takim samym kolorze oczu sprawiło Frankowi dużą przyjemność. Jako człowiek racjonalnie myślący nie dopuszczał do siebie myśli, że się jeszcze kiedyś spotkają. Widywał na co dzień setki osób, i trudno by mu było nawet choć część ich zapamiętać. Zastanawiał się nad tym, że tyle jest ludzi, a każdy jest jakiś inny. Dlaczego tylko czasem ktoś mu się zdaje mniej lub więcej sympatyczny. Nazajutrz bezskutecznie wypatrywał twarzy Heleny Schmidt wśród pasażerów. Przez następne dni też z niepokojem czekał, że ponownie ją zobaczy.

Upłynęło dobre dwa tygodnie, był poniedziałek, kiedy zauważył ją wsiadającą do autobusu. Ona też go od razu poznała i uśmiechnęła się do niego. W autobusie nie było tłoku i znów mogli pogawędzić.

Pani tak zawsze jest gustownie ubrana. Powiedział to spontanicznie, chcąc ją czymś zaskoczyć. Była rzeczywiście zaskoczona i komplement skwitowała krótko.

Nie ma się czym zachwycać, to tylko ubranie, liczy się wnętrze człowieka - odparła. Frank zaniemówił, bo nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Nie rozmawiali więcej, bo zrobił się tłok, grupka młodzieży weszła do autobusu. Piękna Helena wysiadła jak zwykle na końcu trasy, pomachała mu ręką na pożegnanie.

W następny poniedziałek oczom nie wierzył, znów wsiadała do jego 16-ki.

(...) Spotykali się odtąd regularnie na trasie dwa razy w tygodniu. Helena znała już rozkład jazdy autobusu, w którym zawsze jechał Frank. Te ich autobusowe spotkania miały niezwykły urok, miła rozmowa, uśmiechy, tajemnicza wymiana spojrzeń.

Frank Klein po dawnemu wiódł swoje spokojne życie, kolacja, telewizor, wymiana paru zdań z żoną. Chodzili jak dawniej do kina i na spacer. Od czas do czasu jechali w niedzielę odwiedzić dorosłe dzieci. Żonie nie opowiadał o dziwnej znajomości z pasażerką, bo uważał to tylko za mały epizod umilający mu życie. Helenę traktował jako niezwykłą pasażerkę. Czasem miał szczęście i w obie strony czas trasy autobusu spędzali razem.

Pewnego poniedziałku, a było to przed świętami Bożego Narodzenia, kiedy wsiadła do autobusu w Offenbach, zauważył w jej oczach dziwne podniecenie, miała rumieńce na twarzy można by pomyśleć, że z zimna. Nie miał jednak odwagi zapytać o powód jej innego nastroju. Zauważył też wielkie torby z zakupami z napisem „Wesołych Świąt życzy Dom Towarowy Kuester”.

- To prezenty gwiazdkowe dla mojej rodziny - powiedziała cicho.

Całą drogę była jakaś inna, nastrój podniecenia ją nie opuszczał. Gdy autobus zbliżał się do jej przystanku, wyciągnęła z kieszeni małą paczuszkę i wręczyła Frankowi.

O panu też naturalnie pomyślałam i mam nadzieję, że nie odmówi pan przyjęcia.

Niech pan otworzy i zobaczy - ponaglała.

(...)

Kiedy wszyscy pasażerowie opuścili autobus, rozwinął paczuszkę. Był w niej czarny skórzany portfel ze srebrnym monogramem FK. Był ogromnie zmieszany - brakowało mu słów.

- Bardzo pani dziękuję - wyszeptał.

- Podoba się panu...naprawdę.

- Nie wiem co mam powiedzieć, jak pani podziękować.

- Naprawdę piękny prezent. Jestem zachwycony. To dla mnie wielka radość, że się Panu podoba.

Helena na pożegnanie podała mu rękę, którą pospiesznie uścisnął. Odkąd się poznali pierwszy raz dotknął jej aksamitnej dłoni. Cały czas starał się zachować w sobie to uczucie dotyku. Nawet nie zauważyli, że z drugiego końca autobusu kierowca przyglądał się im z ciekawością.

Oglądał prezent kilka razy, ale nie chciał aby żona zauważyła, że ma jakiś nowy portfel. Postanowił go używać, a jak żona zobaczy to powie, że ma go od dawna. Udał się też zaraz do perfumerii, gdzie zapewniono go, że te perfumy „Chanel 5” są najwytworniejszym zapachem na świecie. Zakupił mały flakonik bo i cena była wysoka.

W następny poniedziałek gdy Helena wsiadła do autobusu, on z kolei poczuł w sobie uczucie niepokoju, zastanawiając się jak ona przyjmie jego prezent. Gdy zbliżali się do końcowego przystanku, trzymał rękę już w kieszeni. Bał się, aby Helena nie rozpakowała od razu, może nie zechce przyjąć od niego. Nigdy dotąd nie kupił żadnej kobiecie perfum, nawet żonie. (...)

Edyta Wysocka

A babcia miała taki łagodny głos

niedziela rano

ojciec chłonie powtórkę z meczu

i pierwsze piwo

matka w szlafroku

pali

my w betach

śniadanie każdy sobie

do ręki albo wcale

matka na ojca

ojciec na matkę

matka łyzy

ojciec drugie piwo

matka histerycznie o zmarnowanym życiu

ojciec z domu

my w wirtualny świat

a babcia miała taki łagodny głos

i rogaliki i ciepłe mleko

babcia zawsze się uśmiechała

nawet gdy umarł dziadek

...ale babcia umarła

Wojciech Stańczak

misja

superzonie — minisonet

ślesz mnie z siekierą

zmierzchem po sośninę

zegar gra jak młynek

wynik jeden zero

dla gospodarzy

mimo sęków w drugiej

połowie grubej

kłody — się da żyć

co spod choinki

niczym z popielnika

jeszcze wygarniesz?

strofek wyimki

piernik co nie pika

chińską latarnię

Lechosław Cierniak

Po wizycie u starca

Podróżował bez zakłóceń

a świadkiem punktualność siwizny

Wymarzone pociągi z przedziałami na miłość

zmieniły już rozkłady jazdy

i tylko przez ramię

wypatrywał za kobietami życia

Miał w domu dwa zegary

Brodaty antyk oznajmiał kukułkowo

a wisząca unitra śledziła czas w milczeniu

Oba się szczerze późniły

i każdej doby

kwadransami premiowały mu życie

Boga zawsze miał w sercu

a teraz na wyciągnięcie ręki

Spis utworów

Alina Mendrala

[Nadzieja przychodzi z brzaskiem](#)6

[Cezary Grała](#)

[Matka Boska Pieniężna](#)29

[Matka Boska Spalonych Wierszy](#)30

[Matka Boska Kuchenna](#)32

[Matka Boska Prowincjuszka](#)35

[Milena Ryteewska](#)

[Ballady o cichym umieraniu](#)38

[Kocia Śmierć](#)40

[Moja Śmierć](#)42

[Tadeusz Charmuszko](#)

[CZARNY KOT](#)44

[Agnieszka Magierska](#)

[***Wyobraź sobie, że ludzkość\)](#)..... 46

[***był brudny i śmierdzący\)](#)..... 47

[***rozmawiającąc wypełnić głosem\)](#)..... 48

[Cezary Grała](#)

[Stara rzeka i stary Żyd](#)49

[Daniel Ratz](#)

[Autobiografia ze stanem wojennym w tle](#)53

[Izabella Degen](#)

[Bardzo dziwna miłość](#)56

[Edyta Wysocka](#)

[A babcia miała taki łagodny głos](#)59

Wojciech Stańczak

misja60

Lechosław Cierniak

Po wizycie u starca61

WYKAZ UCZESTNIKÓW

Imię i nazwisko	Godło	Miejscowość
Zofia Rydel-Kośmider	Książę	Biała Podlaska
Wojciech Stańczak	igitur	Józefów
Grzegorz Chwieduk	KOS	Kępice
Urszula Markiewicz	Repent Fangan	Łosice
Piotr Macierzyński	Hel	Łódź
Elżbieta Królikowska	Królik (godło graficzne)	Magnuszew
Edyta Wysocka	Kosaciec, Manru	Miastko
Rafał Jednorąbek	Autsajder	Miedzna
Milena Rytelewska	John Lennon	Myszków
Jolanta Horodecka-Wieczorek	Silvana	Piotrków Trybunalski
Wanda Gołębiewska	Cywilizacja	Płock
Cezary Grała	Trefl, Dybuk	Płock
Daniel Ratz	12	Płock
Alina Mendrala	Lot	Rzeszów
Krystyna Rudnicka	Klon, Świt	Siedlce
Anna Harasim	Annomalia	Siedlce
Agnieszka Magierska	Pola	Siedlce
Adam Końca	5	Siedlce
Lechosław Cierniak	KOS, DNA	Słupsk
Małgorzata Stachowiak-Schreyner	Niedokończona historia	Sulechów
Michał Eggert	Piekarnik	Sulechów
Tadeusz Charmuszko	Skrzat	Suwałki
Ewelina Walter-Szymańska	Chryzantema	Szczecin
Piotr Pieńkosz	Zamoyszcak	Warszawa
Dorota Smułkowska	DORA17	Warszawa
Izabella Degen	La Luna	Wrocław
Krzysztof Jarocki	Roch, Padlina, Ekiben, Papierowy	Żelków Kolonia

STUDENCKI OŚRODEK DZIAŁAŃ KULTURALNYCH

„LIMES”

Akademii Podlaskiej w Siedlcach

ogłasza

XXXIII KONKURS LITERACKI

Konkurs odbywa się w dwóch kategoriach:

- - poezji – zestaw 5 wierszy lub poemat do 15 stron maszynopisu
- - prozy – mała forma prozatorska do 20 stron maszynopisu

TREŚĆ I FORMA UTWORÓW DOWOLNE

Za najlepszy utwór związany tematycznie z Siedlcami przyznana zostanie nagroda specjalna.

Oddzielnie rozpatrywane będą prace studentów, prosimy więc zaznaczyć to na kopercie informacją „Student”

Prace konkursowe, nigdzie nie publikowane i nie nagradzane, w 4 egzemplarzach maszynopisu, opatrzone godłem, wraz z kopertą podpisaną tym samym godłem i zawierającą imię, nazwisko i dokładny adres autora (prace nie spełniające tych warunków zostaną pominięte), należy nadsyłać do 28 lutego 2010 r. na adres:

STUDENCKI OŚRODEK DZIAŁAŃ KULTURALNYCH „LIMES”

ul. Bema 1

08-110 Siedlce

z dopiskiem XXXIII Konkurs Literacki

Ogłoszenie werdyktu i rozdanie nagród odbędzie się jesienią 2010 r.

Konkurs odbywa się pod patronatem PREZYDENTA MIASTA SIEDLCE

Nagrodzone i wyróżnione prace zostaną opublikowane w pokonkursowym wydawnictwie zwanym.

Zapraszamy do udziału!